№ 51 Warszawa, dnia 11 (23) Grudnia 1882 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

W przyszłym roku 1883 **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . **rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . . **rs. 5**
Rocznie . . . . **rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI.

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . . **rs. 1 k. 25.**
Półrocznie . . . . **rs. 2 k. 50**
Rocznie . . . . . **rs. 5.**

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. 3.

GWIAZDKA.

Szumią, kipią morskie tonie!
Jak w bez dna przepaści łonie...
Z czarnej chmury wąż połyska,
I płomieni snopem ciska;
Szałem gniewu piana wrząca —
O brzeg dziki pierś roztrąca,
Lub się wirem wzdyma, kłębi...
Aż bezsilna, skona w głębi.
Wśród tych zda się, walk szatana,
Wszechpotężną mocą gnana,
Bez kierunku i bez wiosła —
Kruchą łódkę fala niosła.
Lecz spokojnie sternik młody,
Na wezbrane patrzy wody,
I z uśmiechem wita burze,
Bo wysoko — tam w lazurze,
Po nad głową jego pała,
Promienista gwiazda mała!
W nią wędrowca wzrok utkwiony,
Błogo szczęściem rozmarzony,
Bezgraniczną lśni ufnością,
I nadzieją i miłością,
A choć w groźnej tej powodzi,
Widok własnej niknie łodzi,
Usta dźwięczą piosnką tkliwą,
Echem serce bije żywo.
I tak płynie dalej, dalej,
Aż się przed nim już kryształi,
Wód powierzchnia jasna, czysta!
Wkoło cisza uroczysta,
Wietrzyk tylko czasem wionie,
Wschód purpurą zorzy płonie,
A wśród blasków, barw tysiąca,
Zawieszona gwiazdka drżąca.
Biada temu, stokroć biada!
Kto tej gwiazdki nie posiada,
Czyim krótkim dniom żywota,
Ona z góry nie migota!
Bo wśród zwątpień czarnej nocy...
Gdzież się wzniesie duch sierocy,
Zkąd zaczerpie owej siły,
Co rozgrzewa chłód mogiły?
Przy miłości i nadziei,
W pośród życia złych kolei,
Z jasnem czołem stać nietrudno,
Zapatrzonym w gwiazdkę cudną!
Ona męztwem nas uzbroi,
Żalu, smutku łzę ukoi,
W ciężkiej nieraz nam godzinie,
Chórem niebo w serce spłynie...
Ten malutki promyk złoty,
Wskaże drogę prawdy-cnoty,
I nauczy kochać ludzi,
I modlitwy chęć obudzi,
Raj zachwytów nam otworzy,
A z manowców i bezdroży,
Jak stróż anioł — gwiazdka droga,
Zaprowadzi nas do Boga!

Bronisława Kor...

Z OPOWIADANIA REZYDENTA.

POWIEŚĆ.

Napisała

ZBIGNIEWA ZMORSKA.

(Dokończenie).

Od jednego z ognisk porwał się cień wyniosły, migiem zbiegł z mogiły i za chwilę, zjawił się pomiędzy nami chłopiec młody, wysoki jak topola i jak ona gibki, czarnowłosy, siwooki, w kuszuli wyrzuconej na szerokie szarawary i burce ciemnej zrywającej się w biegu jak ptak z jego ramion. Ujrzawszy moją dziewczynkę stojącą obok Hordija wśród stada w całym pędzie rzucił jej się do nóg.

— Pani! serce! pannoczko! — zawołał z uniesieniem całując jej ręce, nogi i kraj zroszonej stepową rosą sukni.—Jeszczeż wy wrócili się do nas! jeszczeż nie zapomnieli naszej Ukrainy i nas tu ludzi biednych!

Dziewczyna oparła obie rączki na ramionach młodzieńca.

— Maksymie, druże mij, brate! — powtarzała głaszcząc czerwonowłosą głowę chłopca. — Patrz tatku — rzekła do mnie po chwili, gdy pierwszy wybuch radosny uciszył się nieco i chłopiec z odkrytą głową stał przed nią, ocierając końcem burki łzę, którą radość serdeczna napędziła mu do oczu. — Patrz tatku, to mój brat mleczny i towarzysz jedyny moich lat dziecinnych. Rośliśmy razem, razem bawili się w piasku przed progiem chaty. To on nauczył mnie tak dosiadać konia bez siodła a czasem i uzdy, to on nauczył mnie z wiosłem w ręku, na wązkiem czółenku, przepędzać dnie całe na falach Worskli, strzegąc i pilnując jak niańka, abym na tabunie, lub wodzie, nie zrobiła sobie co złego. A jak ty wyrosł Maksymie! Ot tobie i wąsy czernieją pod nosem. Pora tobie myśleć o żonie — dodała z uśmiechem patrząc na chłopca, który kręcąc czapkę baranią w ręku, stał przed nią półuśmiechnięty, półzawstydzony. — A cóż mój ryży Nekrasa, czy żyje jeszcze? A twój Białonóżka, czy taki jeszcze hyży i zwrotny, jak wtedy, gdyśmy to razem polowali na nich z chartami, a ty z niego bił zające nahajką w biegu?

— Pokaż pani stado Maksymie! — rzekł Hordij. — Dobrze strzegłeś go i doglądałeś, pora tobie teraz pochwalić się niem przed panią!

Młodzieniec obrócił się w step i świsnął przeciągle raz, drugi i trzeci. Na odpowiedź po chwili z kilku stron razem, dało się słyszeć rżenie koni a niezadługo, jak grzmot oddalony, rozległ się ten tent licznych kopyt i ze stron wszystkich, z cieni wieczornych, poczęły się zbiegać w skokach i swywolnych wyścigach, konie różnych barw i wieku, osadzając się nagle przed nami i otaczając żywym wiankiem, swego pana i towarzysza.

Na tle stepu zalegniętego półmrokiem wieczora, przy świetle wschodzącego z po za dalekiego sioła księżyca, utworzył się teraz obrazek, godny pędzla Kosaka, lub Brodowskiego. Pomiędzy żywem kołem, szalejących i rozhukanych koni, obok dziewczęcia cudnie pięknego i wykwintnego stał młodzian wyniosły, jak maszt na ukraińskim bajdaku, i z czapką w ręku, razem hardy i pokorny, pokazywał jej konie, ktore wyciągały do niego szyje, dotykając nozdrzami pieszczotliwie, jego rąk i odzieży.

— Patrzcie, pannoczko — mówił — oto wasz kasztanowaty Nekrasa! postarzał trochę, siwieć zaczyna po nad oczami. A to Biłonóżka, coście o niego pytali przed chwilą. Ten jeszcze rzeźwy i żaden koń nie przegoni go w stadzie. A tę oto poznajcie? To Żyrońka, kiedy rzucaliście hutor przed dwoma laty, była dopiero dwulatką, a teraz obok niej łoszę, pierwsze, tegoroczne, dobre łoszę! Patrzcie! a tam, głowę wyciąga do was stary Woronyk, widno was poznał. To mądry koń, u niego rozum jak u człowieka i choć stary i trochę ciężki, ale konie słuchają go i żaden tak jak on stada nie obgoni.

Ksenia z rozjaśnioną twarzą i błyszczącemi oczyma stała obok młodzieńca, głaszcząc wyciągające się ku nim głowy koni i od czasu do czasu rzucała pytania.

— A to bułane łoszę, od dropiatej? A ten kary, cośmy go przezwali Hetmanem, bo nosił tak głowę wysoko i pierwszy zawsze chodził w stadzie? A ta wilczata co gryzła i nie dawała przystępu do siebie?

Maksym na każde pytanie dawał stosowną odpowiedź, z której dowiadywaliśmy się: że bułane łoszę wilcy zjedli zeszłorocznej zimy, kiedy zanadto oddaliło się od stada, karego Hetmana, bat'ko Hordij sprzedał żołnierzom a wilczęta na hutorze wzięto do roboty.

Kiedy nareszcie moja dziewczynka obejrzała każdego konia i źrebię ze swego stada, kiedy podziękowała za powiększenie jej dobytku, a młodzieniec rozgonił stado, które nanowo rozbiegło się po stepie, stary Hordij zaprosił nas do ogniska buchającego dymem i skrami na mogile, które przy zwiększających się coraz cieniach, obsiedliśmy wszyscy dokoła. Ksenia tutaj znowu znalazła znajomych, w postaci kilku chłopców z Mokowiszcz, przybranych przez Maksyma do pomocy w pasieniu stada, znowu więc posypały się pytania:

— A twoi rodzice Semenie, czy żywi i zdrowi? A twoja siostra Horyszka, Iwanie, czy nie wyszła zamąż? To ładna była dziewuszka, pamiętam jakie kosy miała grube, czarne jak skrzydła kruka a długie aż do ziemi! A twój brat Daniłko, co go wzięli w nowobrańce, tego roku co i ja wyjeżdżałam z hutoru?

Stary Hordij zapaliwszy lulkę, słuchał tej rozmowy z uśmiechem, nucąc z pod siwych wąsów półgłosem jakąś tęskną, stepową nutę.

Dziewczyna obróciła się do niego:

— A no, hałośnijsze bat'ku, zaśpiewajcie mi po staremu, pieśń jaką ukraińską i ja po staremu zaśpiewam ją także z wami — rzekła głaszcząc go po siwej brodzie pieszczotliwie.

— Im to dwa razy nie mówić! — odparł stary. — Bywa, całe noce pieją tu przy ogniu, koniom na uciechę, a nieraz i ja stary, przywlokę się tu do nich, pomogę w pieśniach i zdaje mi się co znachodzę tu przy nich moje młode, dawne lata! A nu, chłopcy! — dodał odkładając na bok lulkę i nabierając w piersi stepowego powietrza a po chwili:

— Oj na hori, tam żynci żnut',
A po pid horoju, po pid zełenoju,
Kozaki idut'!

Zawiódł drżącym od starości, ale czystym jeszcze i wyrobionym głosem.

Do śpiewu starca przyłączył po chwili i Maksym głos swój silny, młody, wibrujący namiętnie, i z kolei każdy ze strzegących koni chłopców, wpadał umiejętnie w ton śpiewakom, składając się na chór, do którego gdy przybył jeszcze cudowny głos Kseni, pieśń zabrzmiała potężnie, namiętnie i dziko rozlewając się ze szczytu mogiły na kraj szeroki, bezbrzeżny, srebrzejący coraz od rosy kroplistej i promieni księżyca.

Teraz dopiero pojąłem z jakiego źródła płynęły pieśni i dumy Kseni, zrozumiałem jej uczucia i uwierzyłem, że pomimo wszystko, ciasno i duszno musiało jej tam być pomiędzy nami.

Wśród tej natury żyznej i bujnej, wśród tego ludu dzielnego i poetycznego, jakiego nigdzie nie znajdzie na ziemi, żyliśmy z Ksenią lato całe, dzieląc czas pomiędzy wczytywanie się w najrzadsze i najcenniejsze dzieła myśli ludzkich, jakie biblioteka po ojcu Kseni pozostała posiadała i używanie przyjemności stepowego życia. Były to chwile przepędzone tutaj, tak miłe i swobodne, jakich nigdy, ani przedtem ani potem nie zaznałem w życiu!

Mojej ślicznej fawórytce bujny wiatr stepowy zdmuchnął już resztki smutku i goryczy z czoła. Swobodna i wesoła, opalona od słońca i wiatru, które na cudne jej rysy rzuciły znowu ten złotawy koloryt z jakim kiedyś przybyła do Młynów, dnie całe spędzała z książką w ręku, w głębi cienistego jaru, a wieczory na koniu ze strzelbą przewieszoną przez ramię. Czasami chwytałem ją wprawdzie na zadumie jakiejś głębokiej i tęsknej czasami słyszałem westchnienie lekkie podnoszące jej piersi, pod soroczką mereżoną, krasną, którą teraz znów stale przywdziała na siebie, ale i zaduma i westchnienia były jakieś łagodne, słodkie i spokojne i patrząc na nie, uśmiechaliśmy się obaj z Hordijem do siebie radośnie, a kiedy czasami spotykaliśmy ją na szczycie jakiej mogiły, zapatrzoną w stronę zachodnią, gdzie po za siołem ciągnął się szlak pocztowy, stary ukrainiec śpiewał jej żartobliwie:

— Wernuła sia, żuryła sia,
Na szlach bityj dywyła sia,
Kwitczała sia, prybirałaś,
Szczo deń bożyj spodiwałaś!...

Nareszcie dnia pewnego, kiedy już chłody jesienne zwarzyły krasne piwonie i nasturcye w ogródku Warwary i skoszone, wypasione stepy pożółkły, zadzwonił dzwonek pocztowy u wrót hutoru, na którego dźwięk, pierwsza nasza dziewczynka swywoląca jak dziecko ze starym Hordijem, stanęła jak wryta na środku chaty i łuna purpurowa oblała jej lica ogorzałe. A kiedy po chwili wprowadziłem do nizkiej drewnianej „seredni", naszego inżyniera, kiedy ten ostatni, ująwszy obie rączki dziewczęcia, objął jej śliczną postać pełnem tkliwości spojrzeniem i zapytał zniżonym lekko głosem, jak się miewa i czy się go spodziewała choć trochę? to zdawało się, że wszystkie ukraińskie zorze wieczorne i poranne, złożyły się na tę krasę cudną, oblewającą jasną twarz dziewczęcia, że wszystkie promienie słońca i księżyca zbiegły się w jej oczy, takiem spojrzeniem jasnem i promiennem zatonęła w jego poważnej i spokojnej twarzy!

W godzinę może po przybyciu swem na hutor, Mirski zapytał Ksenię, czy nie raczy pokazać mu tego stepu, o którym od niej słyszał takie cuda w Młynach, a którego bardzo jest ciekawy!

— Jechałeś nim pan przecież od samej Połtawy — odparła figlarnie dziewczyna, zarzucając przecież czarną świtkę na ramiona.

— Nie patrzałem na niego wcale, chcąc, aby pani ukazała mi go pierwsza! — odparł z czułością.

Ksenia już była gotowa do wyjścia i za chwilę oboje, w towarzystwie czarnego Żuka, wyszli w step pożółkły, zczerniały, pozłocisto oświetlony bladem, jesiennem słońcem.

Kiedy po kilku godzinach powrócili z przechadzki, zastali nas obu z Hordijem, siedzących na przyźbie i wygrzewających się na resztkach przedzimowego słońca.

— Bat'ku Hordiju! — zawołała Ksenia zbliżając się do nas różowa cała i uśmiechnięta — a nie masz tam gdzie pierścionka świętej Barbary?

— A na co tobie doniu? — uśmiechając się spytał ukrainiec.

— Żebym go dała, ot, temu — odparła dziewczyna wskazując cudownym ruchem główki idącego za nią Stefana.

Obaj razem zerwaliśmy się z przyźby.

Moja dziewczynka ujęła za rękę młodego inżyniera i przyprowadziła go przed nas.

— Pobłogosławcie nam obaj staryki — rzekła z rzewnem uczuciem, podnosząc na nas cudne swoje oczęta.

Błogosławiliśmy im obaj równem sercem a potem ja ująłem mego młodego przyjaciela w objęcia i uściskałem go jak własnego syna! I byłem dnia tego taki szczęśliwy i wesoły, że Mirski spostrzegł to i z uśmiechem zwrócił na tę radość moją uwagę Kseni.

Dziewczyna ujęła mą głowę w obie rączki maleńkie i przytuliła swe różowe usteczka do mych siwych włosów.

— Nie dziw mu się — odrzekła — pozbył się dzisiaj wielkiego kłopotu z głowy, doprowadził swą korwetę do cichej, spokojnej przystani.

— Z której wypłynie już tylko pod dyrekcyą dzielnego mego admirała — dodałem śmiejąc się wesoło.

W kilka dni wyjechaliśmy z hutoru. Ślub młodej pary odbyć się miał w Młynach, skoro tylko ukończy się żałoba Kseni.

Otóż opowiadanie starego rezydenta skończone! Ach, prawda, jedno jeszcze!

Kiedy powracając do domu przez Kijów, wchodziliśmy do jednego z większych hoteli, spotkaliśmy w sieniach schodzące ze wschodów damy dwie nadzwyczaj dystyngowanego pozoru, z których jedna starsza, wyglądała na matkę, druga zaś młoda, uderzyła nas pięknością olśniewającą.

Po za niemi najniespodziewaniej ukazała nam się twarz... Eugeniusza, który obładowany różnemi drobiazgami należącemi do toalety damskiej, piastując to wszystko z wielką galanteryą, widocznie towarzyszył pięknej pannie.

Kiedy nas ujrzał na zakręcie wschodów, artysta zmieszał się widocznie, zarumienił się, spuścił niepewne oczy i nie wiedział, czy się nam ma ukłonić, czy też wyminąć jako nieznanych zupełnie.

Ksenia idąca przodem, spotkała się z nim pierwsza, oko w oko. Postępując za nią, a nie widząc jej twarzy, zlękłem się, czy potrafiła zachować spokój przy tem spotkaniu. Skoro przecież wymineliśmy to towarzystwo, dziewczyna zatrzymała się na zakręcie wschodów i odwróciwszy się, pokazała nam śliczne swe lica spokojne i oczy błyszczące figlarnie.

— Co on tu robi? — zapytała śmiejąc się swobodnie.

— Pochodzi przecież z Wołynia i sądzę, że może zmierza w tamtą stronę — odparłem. — Chcesz pani, to zapytam o to portyera i dowiem się co to za damy?

— Po co? — odparła przechylając się przez poręcz wschodów i patrząc za piękną panną błyszczącemi żartem oczyma. Włosy czerwone a raczej płomienne, oczy zielone, cera olśniewająca! Nowy typ kobiety! Tycyanowska karnacya! Wiecie panowie, od dzisiaj zacznę malować kolekcyą *Kobiet Skrzyńskiego* i wyślę je kiedyś na wystawę pod tym tytułem! To mnie tylko cieszy — dodała idąc dalej po wschodach — że widocznie gust sobie wyrabia i wynajduje kobiety coraz piękniejsze!

KONIEC.

KSIĄDZ KONSTANTY.

NOWELLA

przez

Ludowika Halévy.

Tłomaczył z francuzkiego

H. K.

(Dalszy ciąg.)

„Suzie, rzekł on — mówiła dalej pani Scott — przyrzeknij, że przyjmiesz to com ja przyszedł ci ofiarować, przyrzeknij mi to. Przyrzekłam... A więc pod jednym tylko warunkiem aby mój ojciec nic o tem nie wiedział, mówił dalej Ryszard, oddaję do twego rozporządzenia summę, której potrzebujesz. Ależ potrzeba ażebyś rozpoznał pierwej nasz proces, przekonał się co on wart, jakie są nadzieje... — Nie znam waszego procesu i ani słowa słyszeć o nim nie chcę. Gdzież byłaby zasługa w usłużeniu tobie, gdybym miał pewność, że nic nie ryzykuję? Zresztą obiecałaś przyjąć. To rzecz skończona, nie mówmy więcej o tem.—Z taką prostotą uczynił mi on tę ofiarę, z taką szczerą serdecznością, żem przyjęła. We trzy miesiące później, proces był wygrany, te ziemie, które w ostatniej instancyi stanowczo nam przysądzono, stały się własnością nas obu i natychmiast ofiarowano nam za nie pięć milionów. Zapytałam Ryszarda o radę. Odrzućcie propozycyą i czekajcie — mówił on — jeżeli odrazu dają taką summę, to wartość tej ziemi z pewnością co najmniej musi być podwójną. Jednakże, chciałabym zwrócić wzięte u ciebie pieniądze, winnam ci dużo, dużo pieniędzy. O! co do tego, dość czasu będzie, nic nie nagli, jestem teraz zupełnie spokojny, mam aż nadto dostateczną ewikcyą. Ale ja bym chciała jak najprędzej zapłacić, boję się i nie lubię długów... Byłby może sposób, nie uciekając się do sprzedaży tych gruntów .. Ryszardzie, czy chcesz być moim mężem?—Tak, księżę proboszczu, tak, panie Janie — rzekła pani Scott śmiejąc się — sama oświadczyłam się memu mężowi. Ja sama prosiłam o jego rękę. Możecie panowie wszystkim to powtórzyć i nic więcej nie powiecie jak szczerą prawdę. Zresztą, byłam zmuszoną postąpić w ten sposób. Nigdy, o! je stem tego tak pewną jak własnego życia, nigdy sam nie byłby przemówił... Stałam się za majętną dla niego... A ponieważ on kochał mnie tylko a nie moje pieniądze, więc ten majątek ogromnie go przestraszał. Oto cała historya mego wyjścia zamąż. Co zaś do historyi naszej fortuny, może się streścić w kilku słowach. Były tam rzeczywiście miliony w tych wygranych ziemiach, odkryto w nich kopalnie srebra, kopalnie bardzo obfite, z których corocznie otrzymujemy dochody prawdziwie aż śmieszne. Ale wszyscy na jedno się godzimy, mąż, ja i siostra, aby z nich część znaczną rozdawać biednym. Przekonasz się o tem księżę proboszczu... właśnie dlatego żeśmy znały co jest bieda i same przeszły przez ciężkie koleje, dlatego że Bettina pamięta jak nakrywała do stołu i zmywała talerze, na naszem szóstem pięterku w New-Yorku, dlatego znajdziesz nas zawsze chętnemi w pomocy tym, którzy tak jak my same niegdyś, walczą z trudnościami i cierpieniami życia. A teraz, panie Janie, racz mi przebaczyć to za długie opowiadanie i podać mi trochę tej śmietany, która tak smacznie wygląda.

Ta śmietana, były to owe sławne jaja Pauliny... i kiedy Jan spieszył usłużyć pani Scott, ona jeszcze się odezwała:

— Nie dopowiedziałam wszystkiego. Potrzeba panu wiedzieć jeszcze, co dało początek tym śmiesznym i niedorzecznym historyom. Kiedyśmy przybyli i osiedli w Paryżu, rok temu, uważaliśmy za nasz obowiązek, zaraz po przybyciu, ofiarować na biednych pewną summę. Kto wspomniał o tem, nie wiem. Że nie my, to pewno, ale rzecz została w jednym z dzienników opowiedziana, nawet z wymienieniem cyfry. Natychmiast dwóch młodych reporterów opadło pana Scotta, na rozmaite sposoby usiłując go wybadać co do jego przeszłości i majątku. Chcieli pisać o nas w dziennikach, jak to wy nazywacie... kroniki. P. Scott bywa czasami trochę niecierpliwy. Tego dnia jakoś nie był dobrze usposobiony i pozbył się tych panów może nieco za żywo. Wtedy, nie znając naszej prawdziwej historyi, wymyślili inną, która świadczy o bogactwie ich wyobraźni. Pierwszy opowiedział, że ja żebrałam w śnieg i słotę, po ulicach New-Yorku... a drugi, nazajutrz, aby bardziej sensacyjny napisać artykuł, kazał mi dziurawić papierowe obręcze w cyrku w Filadelfii. Macie panowie, we Francyi bardzo zabawne dzienniki... ale zresztą i w Ameryce ich nie brak.

Tymczasem, już od pięciu minut, Paulina czyniła z daleka jakieś desperackie znaki proboszczowi, których on czy nie widział, czy nie chciał rozumiéć, gdyż w końcu biedna kobieta, zebrawszy się na odwagę, głośno zawołała:

— Księżę proboszczu, już kwadrans na ósmą.

— Kwadrans na ósmą! Ach! niech mi panie darują, ale muszę iść odprawić nabożeństwo Majowe.

— Ach! miesiąc Maryi!... i nabożeństwo zaraz będzie?

— Zaraz.

— A nasz pociąg do Paryża, o której odchodzi wieczorem?

— O wpół do dziesiątej — odpowiedział Jan— a nie potrzeba więcej nad piętnaście do dwudziestu minut, aby powozem być na dworcu kolei.

— A więc, Suzie, możemy być w kościele.

— Chodźmy do kościoła — odpowiedziała pani Scott — ale nim się rozłączymy, mam jeszcze prośbę wielką do księdza proboszcza. Oto chcę koniecznie szanownego proboszcza mieć u siebie na pierwszym obiedzie za przyjazdem moim do Longueval i pana także... będziemy sami, we

czworo, jak dzisiaj. Nie odmawiajcie mi panowie, szczerem sercem was proszę.

— I takiemże sercem zaprosiny przyjmujemy— odpowiedział młody oficer.

— Napiszę, aby panów o dniu uwiadomić. Przyjadę jak będę mogła najprędzej... Będzie to obiad naszej instalacyi.

Podczas tej rozmowy, Paulina uprowadziwszy miss Perciwal w kącik pokoju, coś z wielkiem ożywieniem jej opowiadała. Ich rozmowa skończyła się temi słowami:

— Ale będziesz tam? — mówiła Bettina.

— Będę, oczywiście.

— I powiesz mi kiedy.

— A jakże, ale ostrożnie... proboszcz się zbliża, nie trzeba żeby się domyślił...

Obie siostry, Jan i proboszcz, wyszli z domku. Ażeby ztąd dostać się do kościoła, należało przechodzić przez cmentarz. Wieczór był prześliczny. Powoli, w milczeniu, wszyscy czworo, pod promieniami chylącego się ku zachodowi słońca, postępowali drożyną między mogiłami.

Wiodła ona tuż obok pomnika doktora Reynaud, bardzo prostego, który jednakże swemi rozmiarami wyróżniał się pośród innych grobów. Pani Scott i Bettina zatrzymały się, uderzone napisem na kamieniu wyrytym:

Tu spoczywa doktor Marceli Reynaud, starszy lekarz gwardyi ruchomej z Souvigny, poległy w dniu 8 stycznia 1871 roku, w bitwie pod Villersexel. Módlcie się za niego.

Kiedy skończyły czytać, proboszcz, wskazując Jana, rzekł te proste słowa:

— To był ojciec jego!

— Obie kobiety podeszły wtedy bliżej do grobowca i z głową schyloną, pozostały czas jakiś zamyślone, wzruszone, skupione w duchu. Potem zwracając się obie, jednym ruchem, jednocześnie, każda podała rękę młodemu oficerowi i dalej ku kościołkowi poszły. W Longuevalu, pierwsza ich modlitwa była za duszę ojca Jana.

Proboszcz wszedł do zakrystyi, aby przywdziać stułę i kapę. Jan zaprowadził panią Scott do ławki kolatorskiej, od dwóch wieków przeznaczonej dziedzicom Longuevalu. Paulina jakąś boczną ścieżką już wszystkich wyprzedziła i kryła się w cieniu za jednym z filarów kościoła. Schodkami wązkiemi i stromemi. zaprowadziła Bettinę na chór i przed organkiem posadziła.

Poprzedzony przez dwóch chłopaków w komeżki przybranych, stary proboszcz wyszedł z zakrystyi i w chwili gdy klękał na stopniach ołtarza:

— Teraz czas, proszę pani — szepnęła Paulina, której serce z niecierpliwości i radości biło. — Kochany staruszek, jakże się ucieszy!

Kiedy się odezwał śpiew organu i wzniósł się łagodnie jakby westchnienie, rozchodząc się po małym kościołku, ksiądz Konstanty takiego doznał wzruszenia, takiej radości, że aż mu oczy łzami się zalały. Nie pamiętał ażeby płakał kiedy, od dnia w którym Jan powiedział mu, że chce się podzielić swojem mieniem z matką i siostrą tych którzy padli wraz z jego ojcem, od kul niemieckich.

Ażeby jeszcze w spracowanych oczach starego łzy się znaleźć mogły, potrzeba było aby mała Amerykanka przebyła oceany i przyszła zagrać rzewne, poetyczne marzenie Szopena w wiejskim kościołku Longuevalu.

IV.

Nazajutrz, o wpół do szóstej, trąbiono pobudkę na dziedzińcu koszar artyleryi. Jan siadał na konia i obejmował komendę swej sekcyi. W końcu maja, już wszyscy rekruci w armii są wyuczeni i zdolni do udziału w manewrach ogólnych. Wtedy, prawie codziennie, odbywają się manewra bateryami zaprzężonemi.

Jan lubił swój zawód, miał we zwyczaju osobiście doglądać ubrania i zaprzęgania koni, uzbrojenia i umundurowania swych żołnierzy, ale tego poranku, mało dawał baczenia na te drobne szczegóły swej służby.

Jedno zadanie go zajmowało, poruszało, męczyło i w niepewności utrzymywało, a zadanie to nie było z rodzaju tych, których rozwiązania szkoła politechniczna naucza. Jan nie mógł znaleźć stanowczej odpowiedzi na następne pytanie:

— Która z nich dwóch ładniejsza?

Na placu manewrów, podczas pierwszej ich części, każda baterya ćwiczy się osobno, pod rozkazami swego kapitana, który często zdaje komendę jednemu z poruczników, aby ich przyzwyczajać do prowadzenia wszystkich sześciu dział razem. Tego dnia właśnie, od samego początku, manewrów, komenda oddaną została w ręce Jana. Ku wielkiemu zadziwieniu kapitana, który swego starszego porucznika miał za jednego z najukształceńszych i najzdolniejszych oficerów, wszystko szło bezładnie. Jan wskazał dwa czy trzy fałszywe manewra, nie potrafił utrzymać ani oznaczyć dystansów, tak że razy kilka zaprzęgi spotkały się i poplątały. Kapitan wdać się musiał, uczyniwszy Janowi małą wymówkę, którą temi słowami zakończył:

— Nic nie rozumiem! Co się z panem dziś dzieje? Pierwszy raz coś ci podobnego się zdarza.

Bo też i po raz pierwszy, Jan na polu manewrów, miał przed oczyma coś innego niż działa i jaszczyki, coś innego niż zaprzęgi i kanonierów. W kłębach kurzawy podniesionej kołami armat i nogami koni, Jan widział, nie drugą bateryę 9-go pułku artyleryi, ale wyraźny a uroczy obraz dwóch Amerykanek o czarnych oczach i złocistych włosach. I w chwili w której z pokorą odbierał zasłużone napomnienie swego kapitana, Jan powtarzał sobie w duchu:

— Najładniejsza, to pani Scott!

Manewra ranne, są zawsze przerywane małym odpoczynkiem minut dziesięciu. Oficerowie schodzą się i rozmawiają. Jan pozostał na uboczu, sam ze swemi wspomnieniami. Myśl, uporczywie przykuwała go do probostwa w Longuevalu. Tak, najpiękniejszą z dwóch siostr, to pani Scott. Miss Percival, to dziecko prawie. Przed oczyma miał ciągle panią Scott, siedzącą za okrągłym stolikiem proboszcza. Słyszał to opowiadanie tak swobodne, tak pełne szczerości. Dziwna harmonia tego trochę niezwykłego głosu, bardzo przejmującego, słuch jego zachwycała. Potem widział się w kościele. Ona tam była, przed nim, pochylona nad klęcznikiem, ze śliczną swą główką w drobnych rączkach ukrytą. Potem organ śpiewać zaczął i w cieniu chóru, z daleka, niewyraźnie, zarysowała się wdzięczna, delikatna sylwetka Bettiny.

Dziecko! czyż ona jeszcze dzieckiem? Trąby się odezwały, manewra znów się rozpoczęły. Tym razem, na szczęście, już nie miał komendy, nie miał odpowiedzialności. Wszystkie cztery baterye wspólne ewolucye odbywały. Widać było kręcącą się na wszystkie strony tę massę ludzi i koni, dział i jaszczyków, to rozwijającą się w jedną długą linię bojową, to zbiegającą się w zwarte szeregi. Za jednym razem, wszystko na całej przestrzeni placu, nagle się zatrzymało. Kanonierowie zeskakiwali z koni, biegli do działa, zdejmowali z przodka, który wnet kłusem się oddalał i gotowi byli do strzału z zadziwiającą szybkością. Poczem wracały zaprzęgi, kanonierowie działa wnet przyczepili, sami w mgnieniu oka już byli na koniach i cały pułk puszczał się cwałem po placu manewrów.

Tymczasem Bettina, powoli, powoli w myśli Jana, zabierała miejsce pani Scott. Ukazywała się mu uśmiechnięta i zapłoniona, wśród promieniejącej powodzi swych złocistych włosów. *Panie Janie...* nazwała go *panem Janem...* i nigdy jego imię tak ładnem mu się nie wydało. A ostatnie uściśnienia ręki w chwili wyjazdu, przed wsiadaniem do powozu!... Miss Percival nieco mocniej ją ścisnęła niż pani Scot. . tak, nieco mocniej, to pewna. Zdjęła swe rękawiczki grając na organach i Jan czuł jeszcze uściśnienie tej rączki drobnej, białej i miękkiej, która spoczęła na chwilę w jego brzydkiej, ogromnej łapie artylerzysty.

— Myliłem się przed chwilą — mówił Jan do siebie — najładniejszą z nich, to miss Perciwal.

Manewra się skończyły. Baterye uszykowały się jedna za drugą, w ściśnionych odstępach z działami dobrze wyrównanemi i powrót odbył się wielkim kłusem, wśród ogłuszającego hałasu i w kłębach kurzawy. Kiedy Jan, z pałaszem w ręku, przejeżdżał wyciągniętym kłusem przed półkownikiem, obrazy obu sióstr tak zlały się i zmieszały w jego wspomnieniach, że mieniały się i znikały jedna w drugiej, stając się niejako jedną i tąż samą osobą.

Z tej przyczyny wszelkie porównanie stawało się niemożebnem.

Pani Scott i miss Percival, pozostały więc nierozdzielne w myśli Jana, aż do dnia w którym dano mu było widzieć je znowu. Wrażenie tego nagłego spotkania zatrzeć się nie mogło, pozostało żywe i bardzo rzewne, tak dalece że Jan aż uczuł się zaniepokojonym.

— Czyżbym był tak głupi — mówił sobie — iżbym się zakochał, tak odrazu, za pierwszem widzeniem?... Ale nie!... można się zakochać w jednej kobiecie, ale nie w dwóch razem.

To go uspokajało. Był bardzo młody, ten wielki, dwudziestopięcio letni chłopiec. Nigdy dotąd miłość jawnie, całkowicie, szczerze, nie panowała w jego sercu. Miłość, znał tylko z romansów, a bardzo mało romansów czytał w swem życiu. Świętym jednakże nie był. Znajdował wdzięk i przyjemność w towarzystwie gryzetek z Souvigny i nieraz im to mówił, za co wcale się nie gniewały, ale widzieć miłość w tych chwilowych zabawkach, które serca jego nie poruszały prawie, nigdy ani myślał.

Paweł de Lavardens, przeciwnie, ten miał cudowne zdolności zachwycania się i idealizowania. Serce jego mieściło zawsze trzy lub cztery wielkie namiętności, które w niem zgodnie i po bratersku żyły. Paweł miał zdolność wynajdywania, w tem małem miasteczku z piętnastu tysięcy mieszkańców złożonem, mnóstwo prześlicznych twarzyczek, umyślnie stworzonych na to, aby były ubóstwiane.

Świat wielki, Jan znał zaledwie. Dał się wprowadzić, może jaki z dziesiątek razy przez Pa-

wła, na bale i wieczory, do zamków sąsiednich. Wyniósł z nich wrażenie niesmaku, przymusu i znudzenia. Wniósł z tego, że zabawy wielkiego świata nie dla niego były. Upodobania jego były poważne i proste. Lubił samotność, pracę, przechadzki dalekie, wielkie przestrzenie, konie i książki. Był trochę dzikim, trochę wieśniakiem. Kochał swą wioskę i tych starych co pamiętali jego dzieciństwo i o dawnych rzeczach mu rozpowiadali. Kadryl w salonie, niepokonanym strachem go przejmował, ale co roku, w uroczystość patrona wioski Longueval, ochoczo tańczył z okolicznemi dziewczętami.

Gdyby był widział panią Scott i miss Percival u nich w Paryżu, wśród wspaniałości ich zbytku, w całym blasku ich elegancyi, byłby się im przypatrywał, z daleka, z ciekawością, jako cudownym arcydziełom sztuki. Potem wróciłby do siebie i bez najmniejszej wątpliwości, byłby spał jak zwykle, najspokojniej w świecie.

Ale nie tak złożyły się rzeczy i ztąd jego zdziwienie, jego niepokój. Obie te kobiety, najdziwniejszym wypadkiem, ukazały mu się w otoczeniu z którém on był obyty i które przez to samo, było dla nich bardzo sprzyjającem. Proste, dobre, szczere, serdeczne, ot jakiemi pokazały się od pierwszej chwili. A nadto jeszcze, zachwycająco piękne, co nigdy nie szkodzi. Jan uczuł się natychmiast pod ich urokiem. I urok ten trwał ciągle.

W chwili kiedy zsiadał z konia, o godzinie dziewiątej, w dziedzińcu przed swą kwaterą ksiądz Konstanty wesoło w swoją wybierał się drogę. Od wczoraj, głowa starego proboszcza była jak w ogniu. Jan niewiele spał tej nocy, ale co biedny księżyna, ten nie spał wcale.

(*D. c. n.*)

POGADANKA.

Zaczynają się wieczory zimowe na dobre. Na dworze szkaradnie ani wyjść z domu, a tu wieczory długie, dłuższe prawie jak dzień. Cóż więc robić z wlokącemi się godzinami? Podobno najmilszą byłaby gawęda, bo to i dowiedzieć się z niej można i stare przypomina czasy, kiedy to pogawędki jedną z najlepszych były rozrywką.

Gawędy przy kominku...

Ileż to słowo miłych zaraz na pamięć przywodzi wspomnień!? Gdybyż to dzisiaj przynajmniej łatwiej było o kominek! Ale wyrugowany, wyszedł z mody, a z nim i stare przepadły gawędy. O stare gawędy trudno, bo i i starych ludzi już niewiele, coby to opowiadaniem umieli skracać szare godziny. Ludzie coraz to nowi, coraz też to nowych potrzebują rozrywek. Więc nie o te dawne czasy przypominające chodzi nam gawędy. Dookoła nas także niemało rzeczy dzieje się ważnych i godnych omówienia — im więc poświęcamy nasze *Pogadanki*, których celem rozrywka i pożytek czytelników.

O czem tu zacząć?

Tem chyba, co mamy najlepszego, co za największą zaletę naszego społeczeństwa poczytać należy, co chlubą naszą w domu i po za domem. Mamy tu na myśli pamięć społeczeństwa o tych, co mu się dobrze zasłużyli. Dowodów tej pamięci szlachetnej coraz więcej spotykamy, a objaw to bezwątpienia bardzo chwalebny i pożądany.

Cześć, pamięć i uznanie zasług wielkich mężów prawdziwą chlubą dla społeczeństwa samego, a słusznem jest zdanie, iż tylko ten naród zasługuje aby miał takich mężów, który ich cenić umie. Zapominaliśmy często o tem dawniej, dziś przyznać musimy, zwrot ku dobremu coraz to nowemi objawia się dowodami. Dość powiedzieć, że już niebawem stanie w Krakowie pomnik dla największego geniuszu naszego narodu, dla Adama Mickiewicza. Pomnik to będzie wspaniały, wzniesiony kosztem *100,000 złr.*, a do potrzebnej kwoty niewiele już brakuje, znajdzie się wnet i ta reszta. Dziś chodzi tylko o wybór planu na ten, gorąco przez całe społeczeństwo upragniony pomnik. Wybór stanowczy zostanie również niebawem dokonany.

Dzieło to pierwsze — a dzieło wielkie, godne wielkości poety.

Lecz zasłużonych, choć nie geniuszów wieszczów, mamy więcej. Na skroń jednego z nich złożono we wtorek 5 b. m. wieniec z wawrzynu. Tym szczęśliwym był Aloizy Żółkowski, najznakomitszy nasz komik, pracujący na scenie warszawskiej od lat pięćdziesięciu bez wytchnienia.

Pięćdziesiąt lat pracy, to nie błaha rzecz, to zasługa niezwykła,—złotego wesela ze sztuką nie łatwo się doczekać. A jeszcześ do tego dodajmy, że tu nie o lata same chodzi, nie o ilość pracy tylko, lecz także o jakość. Pod tym względem nie ma Żółkowski u nas a podobno i za granicą równego sobie. Zasługa jego godna wawrzynu.

A jaki to zarazem tryumf sztuki dramatycznej?!

Warszawa, chcąc uczcić swego ulubieńca rozchwytała po wysokich cenach bilety na przedstawienie jubileuszowe. Ten dowód uznania, to jakby nasze dawne *panis bene merentium*. Lecz nie koniec na tem, oto koledzy artysty zebrali pomiędzy sobą fundusz na stypendyum dla dzieci artystów. Stypendyum imienia Żółkowskiego, to najdłuższa pamiątka wdzięczności.

Obok innych owacyi zapisujemy wręczenie Żółkowskiemu złotego puharu od Czechów, zamieszkałych w Warszawie. Dar wręczyła śpiewaczka czeska panna Marya Reichowna.

Od lat kilku zaledwie datuje się wielka przyjaźń nasza z Czechami. Dawniej było inaczej. Oby przetrwała długie, długie wieki, a gwiazda szczęścia oby świeciła zbratanym...

W notowaniu dobrego idźmy dalej.

I znowu spotykamy się z objawem wdzięczności narodu. Idzie tu o uczczenie dwudziestopięcioletniej działalności literackiej *Teodora Tomasza Jeża*. Któż nie zna Jeża i jego pięknych utworów?! Czytaliśmy i czytamy go wciąż, niezmordowany pracuje nieustannie, a da Bóg pracować będzie jeszcze długie lata.

Dziś na jego uczczenie przygotowują w Warszawie album ozdobne z fotografiami literatów, dziennikarzy i artystów wszelkich zawodów. Miłym będzie upominek przypominający braci po piórze i myśli, żyjących tą samą ideą przewodnią, na tej samej niwie duchowej pracujących, choć każdy w inną formę myśl swą przyobleka. Że ci, co sami myślą twórczą pracują, cenią tę twórczość u starszego brata, to bardzo chwalebne, to dowód że i sami uznania są godni. Lecz jest w tem małe ale...

Jak daleko i szeroko znaną jest mowa nasza, tak daleko sięga sława T. T. Jeża. Jedni znają go dokładnie, inni zaledwie z jednej jakiej książeczki, lecz nie ma kątka, gdzieby go nie znano wcale! Więc nikt nie powie ażeby T. T. Jeż dla tej lub owej wyłącznie pisał prowincyi. Wobec tego upominek warszawski musi uledz krytyce. Że u nas właśnie podniesiono myśl uczczenia T. T. Jeża to i chwalebne i piękne. Poszczycić się możemy tem, żeśmy nie przypomnieli o zasługach skromnego a wielkiego pracownika na niwie literackiej. Myśl więc rzucono w Warszawie, ale... małoż to literatów i artystów posiada Lwów, Kraków, Poznań i inne miasta?! W uczczeniu tak wielkich zasług, jak te, które położył T. T. Jeż nie należy się ociągać nikomu, choćby w najdalszym mieszkał zakątku.

A jednak album przygotowujące się ma zawierać same tylko fotografie warszawskie.

Kto tu winien?

Bezwątpienia wszyscy. I komitet zawiązany w Warszawie i Koła literackie po za Warszawą. Komitet powinien był zaraz po zawiązaniu się wejść w porozumienie z literatami zamiejscowymi, tem bardziej, że pragnie aby fotografie albumu były w jeden sposób wykonane. Porozumienie takie bardzo byłoby rzeczą łatwą, a zaniedbanie w tym względzie nie może zasłużyć na pochwałę.

A z drugiej strony dziwną jest opieszałość literatów i artystów z po za miedzy. Czyż oni nie mogli, nie powinni byli przystąpić natychmiast do tak pięknego zamiaru?! Wszak zadanie takie leży w założeniu kół literackich i artystycznych we Lwowie i Krakowie.

Opieszałość to, czy niechęć dlatego, że inicyatywa wyszła zkąd inąd?!

Pisząc te słowa, czynimy to w tej myśli, że złe się jeszcze naprawi. Wszak czasu dość, a fotografie mogą nadejść do Warszawy najdalej za dwa tygodnie. Zjednoczeniem a pracą, powinno być hasłem naszem w dążeniach zacnych, których oby jak najwięcej było.

A jednak czasem, czasem tego brak widoczny. Poda myśl piękną jeden, drugi ją uznaje, lecz się do niej nie przyłącza, bo inicyatywa nie od niego wyszła, nie mógłby być pierwszym. Więc ten drugi rzuca myśl inną, może równie dobrą i piękną, lecz szkoda, że inną. I nie chcę zrozumieć, że w takich razach wszyscy są i powinni być na drugim miejscu — na pierwszem zawsze stoi cel.

Powie ktoś może, że to zarzut niesłuszny. Nie, tak jest istotnie. Powtarzamy, że nie zawsze, lecz często brak zespolenia sił, a rozbijanie ich na drobne promyki nie da blasku takiego, jakiby się dał osiągnąć przez skupienie i dążenie w jednym kierunku.

Ot, dla przykładu wspomnimy rzecz niedawną a znaną naszym czytelnikom. Dał Henryk Siemiradzki *Pochodnie Nerona* dla narodowego muzeum sztuki, a uczynił to w chwili, w której całe nasze społeczeństwo czciło zasługi jubilata J. I. Kraszewskiego. W chwili takiego zespolenia się można było liczyć, że i muzeum to skupi siłę wszystkich. Istotnie w ślad za *Pochodniami Nerona* posypały się dzieła innych malarzy. Najuboższy nawet dawał co miał najlepszego. Objaw to był nadzwyczaj pocieszający, który przyjmowano w kraju z entuzyazmem prawdziwym.

Równie drogi sercu naszemu, równie ceniony w kraju i za granicą, jak Siemiradzki, mistrz naszego malarstwa historycznego Jan Matejko do tej chwili nie złożył dla *muzeum narodowego* nic, lecz przyrzekł dać jedno z dzieł swoich. Czekaliśmy.

W tym czasie ukończył Matejko znakomite płótno: *Hołd pruski.* Wszyscyśmy je podziwiali.

W tem rozległa się po najdalszych nawet zakątkach wieść, że Matejko darował *Hołd pruski* dla ozdoby siedziby królów w zamku na Wawelu.

Nie myślimy występować przeciwko wolności rozporządzania własnemi dziełami. Lecz *muzeum narodowe* dotąd czeka na dar Matejki, a dar ten nie może być rzeczą drobną, lecz godną tak wielkiego mistrza. A na tym punkcie, jakoś nam nasza teorya o skupieniu sił duchowych nie dopisuje.

Lecz dość już wymówki. Albożto nie mamy jeszcze czasu do pracy. Szkoda wprawdzie każdej straty, ale trudno, by wszystko było dobre. Złe się samo przez się strawi lub poprawi, a dobre stanie górą na niewzruszonym niczem gruncie, jak to zawsze bywało, bywa i bywać zawsze pono będzie.

Czasy nasze to wiek wynalazków.

Elektryczność zdawała się być ostatnim wyrazem ułatwienia porozumienia pomiędzy ludźmi, dziś telefony zdają się ją spychać z tak poważnego stanowiska.

To, o czem dawniej ani marzyć mogliśmy, dziś jest rzeczywistością. Mieszkańcy dwóch przeciwległych końców miasta mogą z sobą swobodnie rozmawiać. Przykład Warszawy nie pozostał bez naśladownictwa. W Łodzi już rozpoczęto budowę sieci telefonicznej a podobno i inne miasta krzątają się gorliwie o zaprowadzenie tego tak pożytecznego środka porozumiewania się wzajemnego. Niech więc rozpowszechnienie telefonów dojdzie do doskonałości, niech obejmie cały kraj, a będziemy mogli zamiast pisanej pogadanki mieć pogadankę rzeczywistą.

Lecz zanim to nastąpi, posługujmy się piórem.

Rozumiemy się i tak, a niechno tylko wzrasta chęć czytania, niech książki i pisma rozchodzą się setkami tysięcy, będziemy się rozumieli jeszcze lepiej. Wtedy światło wyruguje stanowczo ciemnotę i zrozumie każdy wołanie wielkiego poety: światła, więcej światła!...

Jak daleko nasz język sięga, rozumiemy się i o to nam chodzi. Więc choć umiemy zawsze cenić pracę i wynalazki, tym razem nie będziemy korzystali z dzieła dwóch Niemców, którzy ułożyli naukę nowego *języka światowego.* Jest to mieszanina — coś nakształt grochu z kapustą — a ma niby służyć mieszkańcom całej kuli ziemskiej do wzajemnego porozumiewania się. Autorowie tej książki chcą, abyśmy się ich nowowynalezionego języka nauczyli, a wtedy nic łatwiejszego jak wymiana myśli najróżnorodniejszych narodowości. Pominąwszy, że to projekt niewykonalny, pytamy jeszcze coby się stało z językami żyjącemi, coby się stało z olbrzymiej wartości zdobyczami literatury każdego narodu?

Że też ci niemcy tak mało pamiętają o tem, o czem wie każde dziecko nawet, że język rodzinny droższym jest nad wszystko...

Wracajmy do spraw swojskich.

Życie wre bez ustanku, że aż trudno się w tym wirze rozpatrzeć nieraz. Każdy się krząta około spraw własnych, a ten i ów o sprawach ogółu myśli, bo tych zapominać się nie godzi. To obowiązek obywatelski. Lecz obowiązek to zarazem ciężki, do jego gorliwego i sumiennego spełniania sił trzeba niemałych. Ułatwienie w tym względzie stanowią towarzystwa.

Mamy ich niewiele, a i te które są, nie wszystkie bez ale. Mówimy najpierw o dobrych, złe zawsze jeszcze znajdzie czas przypomnieć się samo.

Trafem utworzyła się grupa trzech towarzystw o celach najróżnorodniejszych, niepowiązanych organicznie niczem. Związanie się ich przypadkowe. Lecz dlatego, że się tak razem nawinęły, razem o nich mówić będziemy. Jakiż to traf je powiązał i co to za towarzystwa?

Jedno z nich, to towarzystwo wioślarskie, czynne i w zimie, bo celem jego nie tylko wioślarstwo, lecz skupianie ciągłe amatorów tegoż i dostarczanie im przez rok cały miłej rozrywki. Otóż towarzystwo to osiedliło się obecnie w salonach pałacu Brühlowskiego. Zajęto więc tym sposobem miejsce, w którem się dawniej odbywały wystawy urządzane przez Muzeum przemysłu i rolnictwa. Komitet tego muzeum to drugie towarzystwo, rozwijające się bardzo pomyślnie. Jeżeli ono szuka dziś pomieszczenia na swą wystawę, to niemniej stało się powodem podobnego kłopotu, dla innego znowu towarzystwo zachęty sztuk pięknych. Lokal, który to ostatnie dziś zajmuje, stał się własnością muzeum przemysłu i rolnictwa. Towarzystwo więc zachęty sztuk pieknych musi się oglądać za nowym lokalem na swą nieustającą wystawę.

Otóż kiedy tę instytucyą tak los związał kłopotami o pomieszczenie, pomówimy o nich razem, rozpatrując czynności ostatniej chwili.

Towarzystwo wioślarskie, młode jeszcze a już bardzo pomyślnie rozwinięte i ciągle się rozwijające, jest istotnie godnem poparcia. Dostarcza ono swym członkom najlepszych rozrywek. Dziś pomyślano o rozrywce bardziej, niźli inne pożytecznej. Oto co sobotę będą się odbywały odczyty pouczające. Inicyatorom tego pomysłu prawdziwe należy się uznanie. Z dawniej zaprowadzonych rozrywek wspomnijmy o gimnastyce. Mając na myśli zdanie: *w silnem ciele silna dusza...* wprowadził zarząd towarzystwa swój oryginalny pomysł w życie, a natomiast usunął rozrywkę powszechnie dziś przyjętą, a tak zgubną: grę w karty. Jest to więc jedyny dziś klub, w którym nie wolno grać w karty.

Zaiste nic nad to piękniejszego! Marnowanie grosza, rozbudzanie namiętności, a w następstwie tysiące najgorszych skutków, oto co za sobą prowadzi gra wysoka w karty. Im więc więcej będzie klubów, które ją wyrugują, tem lepiej.

Nie dotyczy to jednak gry w karty, stanowiącej domową rozrywkę, w której groszaki na harc występują. Tej można używać bez grzechu byle z umiarkowaniem. Wszystko co bawi, ma swoją wartość.

Idźmy więc dalej.

Komitet Muzeum przemysłu i rolnictwa, tej pożytecznej i słusznie cenionej instytucyi, urządza w maju roku przyszłego wystawę ubrań i sprzętów. Lada dzień spodziewamy się zawiadomienia, które tem rychlej powinno być ogłoszone, ile że przygotowania wystawców sporo zajmą czasu. Idzie tu bowiem o wykazanie co posiadamy własnego, wyrabianego w domu i jaka tego istotna wartość. Wystawa tych przedmiotów ma na celu przekonanie wszystkich, iż wyroby nasze ani pod względem trwałości, ani piękności nie stają tak nizko iżbyśmy potrzebowali lepszych szukać za granicą. Każdy grosz, który z kraju wywozimy lub wysełamy za granicę, jest potrójną stratą: ubożymy kraj, odbieramy zarobek tutejszym przemysłowcom i odbieramy im wreszcie chęć do pracy.

Do zachęty i podniesienia przemysłu przyczyniają się bezwątpienia wielce wystawy. Ułatwia się przez nie kupującym możność nabycia, przemysłowcom zbyt, a ogółowi daje się widoczny dowód rozwoju tej lub owej gałęzi przemysłu. Dlatego myśl komitetu, urządzenia wystawy przedmiotów służących do ubrania i sprzętów, uważać musimy za bardzo trafną i na dobie będącą. Że udział wystawców będzie liczny, o tem nie chcemy ani na chwilę powątpiewać.

Wreszcie słów kilka o towarzystwie zachęty sztuk pięknych.

Zadanie jego niemałe. Zachęcać do tego co piękne, toż to praca wagi nielada. Do spełnienia jej trzeba sił niemałych i wielkiej wytrwałości. Z tego względu robiono w ostatnich czasach towarzystwu zarzuty ospałości. Obawiano się w ślad za tem idącego zamierania. Lecz tak źle bynajmniej nie jest; nie brak towarzystwu sił żywotnych, lecz jest w niem za wiele może żywiołów wahających się i niezdecydowanych. Jest to bądź co bądź wielka tama rzutkości i ruchliwości, które jest każdemu towarzystwu są konieczne.

Ruchliwość towarzystwa objawia się głównie wystawą dzieł sztuki. Jest ona nieustającą, lecz powinien w niej panować nieustanny ruch, ciągła zmiana dzieł sztuki. Tym sposobem daje się publiczności możność poznawania rzeczy pięknych, wyrabia się t. z. smak dobry i zamiłowanie piękna. Musi nam towarzystwo przyznać, że na jego wystawie czasami bardzo mało ruchu, nowości brak, a rzeczy dawne wątpliwej są wartości.

Wspomnieliśmy, iż sale zajmowane dotąd przez wystawę dzieł sztuki, są własnością Muzeum przemysłu i rolnictwa, które wszakże ofiarowało gotowość pozostawienia sali Towarzystwu zachęty sztuk pięknych na pewien czas. Tymczasem towarzystwo ogląda się za nowym lokalem, chcąc go sobie na pewien przeciąg czasu zapewnić. Wybór padł na salon artystyczny Ungra. Wybór bezwątpienia dobry. Zanim wszakże towarzystwo będzie zmuszone opuścić dotąd zajmowany lokal, zamierza w salonie Ungra urządzać wystawę dzieł obcych malarzy. Sprowadzając dzieła o istotnej wartości, ma towarzystwo nadzieję, iż zyska niemało. Zyskiwali i zyskują przedsiębiercy prywatni, dlaczegóżby nie miało zyskać towarzystwo? A jaka to przytem przysługa dla publiczności, która się garnie do każdego wielkiego dzieła!

Tylko, że niektóre wahające się żywioły w łonie towarzystwa nie mogą się dotąd zdecydować...

Nie godziłoby się robić bez zastanowienia, lecz zbyt długie myślenie nic nie pomoże, a zwłoka stratę zawsze przynosi. Ufamy, że się ta sprawą wnet pomyślnie zakończy i to na korzyść towarzystwa, które dziś bardziej aniżeli ktokolwiek potrzebuje dowodów, gdyż zamierza budować własny gmach. Musimy tu oddać sprawiedliwość kilku członkom towarzystwa, którzy, chcąc wahających się na swoją stronę przychylić, ofiarowali gotowość pokrycia z własnej kieszeni niedoborów, jeśliby jakie z nowego salonu wynikły. Nie brak nam więc dotąd ludzi gotowych do ofiar, gdy tego dobro publiczne wymaga.

Gawęda zbliża się ku końcowi.

Kiedy was ta pogadanka dojdzie, będziecie się gotowali do wieczerzy wigilijnej Bożego Narodzenia.

Widzę po najodleglejszych zakątkach kraju ponakrywane dawnym obyczajem stoły, widzę światła jarzące i uginające się pod ciężarem pierników jabłek i choinki. Na stole leżą opłatki, a u okna ktoś wygląda pierwszej gwiazdki.

Wreszcie zeszła.

Cała rodzina gromadzi się około stołu i łamiąc się opłatkiem składa sobie wzajemne życzenia.

Czego wam życzyć?

Trudno odgadnąć, każdy ma inne pragnienia...

Może słowo największej życzliwości wywołałoby łzę w niejednem oku? Wszak każdy o czemś marzy, wszak każdy czegoś pragnie a nadzieja pocieszycielka, nie wygasa nigdy.

Więc niech sobie każdy swe życzenia wypowie w duszy, a my mu do nich ślemy najszczersze: Szczęść Boże!...

Es. Zet.

Przegląd Teatralny.

Jacuś, komedya w czterech aktach przez *Edwarda Lubowskiego*, odegrana na warszawskiej scenie po raz pierwszy 16 b. m.

Sztuk oryginalnych u nas nie zbyt wiele się pojawia, więc już z tego samego względu zasługuje każda znich na szczegółową ocenę, zwłaszcza gdy jest oparta jak komedya E. Lubowskiego na naszych stosunkach i roztrząsa kwestye społeczne bardzo a bardzo ważne.

Przypatrzmy się jej bliżej.

Bohaterem sztuki jest młody chłopiec, Jacuś Odżywiński. Wychowany na wsi bez ogłady towarzyskiej i bez nauk, w swobodzie, jaką daje obcowanie z naturą, a przytem w rygorze trzymany przez stryja, jest nieokrzesanym lecz poczciwym chłopcem. Od ludzi nie doświadczył nic złego, więc ich kocha i serce ma dla nich. Nie znał ich co prawda wielu. Stryj, ksiądz, trochę sąsiedztwa, ot i wszyscy. Z całego sąsiedztwa najlepszym był dla Jacusia pan Gabrylewicz a już jego córka Wanda, była prawdziwym ideałem dobroci i piękna dla poczciwego chłopca. Lubili go oni i choć wiedzieli, że chłopiec nie ma nic własnego, przygarniali serdecznie, bo cenili w nim serce czyste i poczciwość.

Stryj wkładał Jacusia do pracy i nie folgował mu bynajmniej. Choć sam był bardzo bogaty i nie miał bliższych spadkobierców, nie chciał, by synowiec liczył na spadek i wzorem wielu innych wychowywał się na próżniaka, a następnie na utracyusza. Ale poczciwemu Jacusiowi ani na myśli był spadek. Pracował przy stryju, polował dla rozrywki i kochał się od dzieciństwa w pannie Wandzie. Stryj wszakże uznał za stosowne wysłać chłopca trochę w świat, aby nabrał ogłady i otarł się o ludzi. Daje mu więc dwieście rubli i wyprawia do Warszawy. Dzięki temu postanowieniu, spotykamy Jacusia w salonach baronowej de Cochenille na balu. Grono wesołych hulaków żartuje sobie z Jacusia i bawi się jego zakłopotaniem i nieśmiałością. Jacusiowi dziwnie nieswojsko na tym balu. Frak go ciśnie, z rękami nie może sobie dać rady, a już co do znalezienia się wobec uczestników balu, to istne tortury.

W pośród takiego otoczenia spada na Jacusia piorunem wieść o śmierci stryja.

— Boże wielki! — krzyknął — on nie żyje! — i jak szalony wybiegł z sali.

Lecz zwiastun tej nowiny ma dla zgromadzonych gości jeszcze inną. Oto Jacuś po stryju odziedziczył milionowy majątek.

Warto widzieć miny tych panów, którzy przed chwilą dworowali sobie otwarcie z Jacusia, jak teraz olśnieni blaskiem milionowego spadku, wyszukują na wyścigi zalety w nieobecnym. A każdy przytem myśli, jakby to wkraść się w łaski bogatego młodzieńca i ciągnąć zeń zyski.

Najsprytniejszy jest Kamil Morowicz. Zawładnął odrazu Jacusiem i robiąc się jego mentorem obławia się i jego pieniędzmi.

Autor nie peroruje, lecz przebiegiem akcyi wykazuje jaką potęgą dla ludzi są pieniądze. Dla nich gotowi oni do największych przewrotności. Pieniądze w przekonaniu wielu — jak to przy końcu sztuki mówi baronowa — dają człowiekowi posiadającemu je i ogładę i prezencyą i szacunek i rozum i wykształcenie i duszę nawet... To trochę za wiele, a jednak tak sądzi nie jeden.

W obec tej więc, smutnej niestety prawdy, staje bogaty nagle, a niedoświadczony Jacuś. Chłopiec prosty i nieśmiały, zaczyna być lubionym i poszukiwanym. Musi to sprawiać mu pewien zawrót głowy. Nieznający wartości pieniędzy są dzi, że to jego samego cenią. Czuje wszakże, że mu wiele rzeczy niedostaje. Doucza się więc wszystkiego, w głowie powstaje chaos, dobrych chęci Jacusiowi niebrak, boć czegoż się nie uczył...

Zawsze więc pozostaje jego prostota, wiara w ludzi, na których wartości nie może się poznać, i brak rutyny salonowej. Lecz dla milionów przebaczają mu to wszystko ci, co go otaczają, a czyhają na grosz jego!

Otoczenie niedobre, nieuczciwe prowadzi Jacusia na drogę hulanki i swawoli. Ale to dopiero początek. Głowę ma słabą, więc zaraz na pierwszem śniadaniu upija się. Wtem dają znać, że ze wsi przyjechał pan Gabrylewicz z Wandą. Wstyd oprzytomnia Jacusia. Wyrzuca z pokoju pijanych współbiesiadników i przyjmuje swego dawnego przyjaciela i towarzyszkę dziecięcych igraszek. Serce dobre się odzywa. Wstyd, że się dał upoić gryzie go, zapomina o złem, całą myślą lgnie do tych prawdziwych przyjaciół.

Kamilowi, który całkiem już zawładnął Jacusiem nie podoba się jego chęć ożenienia. Widzi już naprzód, że wtedy straci wpływ na poczciwego chłopca i zyski ustaną. Zaczyna go więc strofować i gromić, mówiąc że się w małżeństwie zagrzebie. Jacusia to trochę oburza, osobliwie, że tu idzie o jego Wańdziunię. Natura samodzielna budzi się w nim i postanawia wypłatać figla Kamilowi. Oto udaje, że się stara nie o Wandę lecz o baronównę Martę. Ta wprawdzie o nim nie myśli, lecz zato jej matka.

Baronowa widząc, że o jej piękną, lecz bez grosza córkę nikt się nie stara, postanowiła bądź co bądź zdobyć dla niej Jacusia. Poznała go odrazu. Więc też do dokonania postanowienia nie trudno jej było. Zagadnęła chłopca z góry iż jej córkę bałamuci, nie pozwoliła ani słowa odpowiedzieć i poprostu kazała się oświadczyć podczas kotyljona. Zahukany Jacuś nie wie co z sobą począć, kocha przecież Wandę, a tu mu nasuwają Martę. Nadchodzi Wanda, Jacuś chce się do niej odezwać, lecz ta zagniewana, bo usłyszała, jak baronowa mówiła do córki „on jest twoim". Nie chce więc nawet słuchać Jacusia, a kiedy ją tenże prosi do kontredansa, odmawia mu i idzie z Ochsenen. Jacuś obrażony, bierze Martę i w kotyljonie się jej oświadcza.

Z pojedynku wychodzi Jacuś cało, lecz zato zaczynają się intrygi na dobre. Przyjaciel jego Kamil widząc iż mu Jacusia wydzierają, postanawia rozerwać zamierzone małżeństwo z Martą i puszcza pogłoskę, iż znalazł się rodzony brat stryja Jacusia i on odbiera cały majątek. Jacuś więc pozostanie znowu biednym. Baronowa oburzona na Jacusia do najwyższego stopnia, odmawia mu córki, choć Jacuś nawet o niej nie myśli, bo się z Wandą pogodził i czeka tylko, rychło go baronowa zwolni od danego słowa. Wanda szczęśliwa zabiera Jacusia na wieś, a baronowa dowiedziawszy się, iż pogłoska o utracie majątku była fałszywą, nie może się w gniewie pohamować.

Otóż i koniec sztuki.

Zastanowimy się trochę nad jej znaczeniem społecznem i nad charakterami. P. Lubowski należy do tych komedyopisarzy, którzy cały nacisk kładą na charaktery i fotografie społeczeństwa. Zależy mu głównie na tem, ażeby z jego dzieł wiała prawda życiowa, aby każdy mógł powiedzieć, iż patrzy na życie rzeczywiste, aż do najdrobniejszych szczegółów prawdziwe. Jego postacie nie są ideałami lecz ludźmi jakich istotnie spotykamy w życiu. Zalety to w komedyi społecznej wielkie a „Jacuś" posiada je w wysokim stopniu. Sceny i ludzie i sytuacye jak żywe stają przed oczyma widza i przenoszą go w świat rzeczywistości.

Charaktery są rysowane z ogromnym talentem. Posiadają wartość typową, a ich prawdziwość nie ulega żadnej krytyce.

Takich Jacusiów spotykamy w życiu niemało. Póki nie mają nic, nikt ich nie szanuje i żadnej w nich nie znajduje świat zalety — niechno zaś spadnie na nich fortuna, wszyscy się do nich garną, chwalą ich i kochają.

Dodajmy tu zaraz, że tego Jacusia grał znakomicie p. Wolski, a będziemy mieli wyobrażenie z jaką prawdą charakter ten wystąpił na scenie.

Gabrylewicz i Wanda reprezentują w sztuce ludzi dobrych, zacnych, poczciwych. P. Ostrowski i panna Czaki odtworzyli te dwie postacie bardzo dobrze. Zdawało się nam, iż na rzeczywistość patrzymy a nie na teatr.

Reszta ludzi przewrotnych. Baronowa jakich wiele, szuka pieniędzy choćby z mężem głupim. Córka jej, to znakomity typ panny wychowanej za granicą, zfrancuziałej, zepsutej i marzącej ciągle o jakimś angielskim lordzie. P. Lüde grała tę rolę aż do złudzenia prawdziwie.

Hrabia, to znowu typ wierny rzeczywistemu życiu. Lubi się bawić, kocha się w Marcie, bo piękna, lecz o ożenieniu nie myśli, bo nie ma posagu. Hrabiego grał p. Prażmowski doskonale. Salonowiec to był skończony.

Mentor Jacusia, p. Kamil Morowicz, to znowu charakter salonowca-wyzyskiwacza. Nie umiemy go sobie inaczej wyobrazić jak tylko tak, jak go przedstawił p. Tatarkiewicz.

Lecz już najznakomitszym typem jest w komedyi p. Lubowskiego, Ochsen, kosmopolita. Jest to bywalec, hulaka, a przedewszystkiem jak sam ciągle powtarza, kosmopolita i *bon vivant*. Dając nam w swem dziele taki typ, rozumiał autor, iż bez zaprzeczenia największem złem rozbijającem dziś społeczeństwo jest kosmopolityzm. Jest to gangrena od której niech każdego Bóg chroni. Dla kosmopolity istnieje tylko pieniądz, hulanka i miłostki, po za tem nie zna *przesądów*. Jakże trafnie ten sam Ochsen mówi po pijanemu: „Źli ludziska powiadają, żem jest gorszy od zwierzęcia bo i to ma swój dom, a jam tylko kosmopolita..."

Charakter Ochsena jest bezwarunkowo znakomitą kreacyą, której tylko powinszować należy autorowi, a panu Rapackiemu, który Ochsena odtworzył na scenie, należy się uznanie, że tak doskonale zrozumiał autora i dał nam postać jak żywą.

Powodzeniu, jakie miał „Jacuś" na warszawskiej scenie, wypada nam tylko życzyć, abyśmy jak najrychlej ujrzeli rzecz nową z pod pióra Lubowskiego.

E. Zorjan.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

† Dnia 10 b. m. w nocy z soboty na niedzielę, zszedł z tego świata czcigodny kapłan ks. kanonik **Adam Jakubowski**, proboszcz parafii Św. Krzyża w 81 roku życia. Nie ma pewnie w Warszawie drugiej postaci tak powszechnie znanej i szanowanej, tak ogólnym otoczonej szacunkiem i uznaniem — dowodem tego pogrzeb zmarłego, na który zebrały się wielotysięczne tłumy przedstawicieli wszystkich klas społecznych. Urodzony 30 grudnia 1801 r., zmarły kapłan pobierał nauki w szkole ks. pijarów przy ulicy Długiej, i odrazu zwrócił uwagę światłych nauczycieli wielkiemi zdolnościami i pilnością do nauk. W 17 roku życia wstąpił do nowicyatu, a już we dwa lata później został nauczycielem matematyki i literatury, w utrzymywanej przez ks. Pijarów szkole w Radomiu, a po śmierci Kaźmierza Brodzińskiego, powołanym został do wykładu tychże samych przedmiotem w konwikcie na Zoliborzu. Po reorganizacyi szkół w 1833 r., był proboszczem w Gowarczewie a następnie w Białaczewie; tęsknił jednak za szkolną katedrą, i po sześciu latach wezwany do Krakowa na rektora ks. Pijarów, udał się tam niezwłocznie: aż do 1840 r. zajmował się gorliwie wykładami w szkołach publicznych i w prywatnych zakładach naukowych. Jako członek Towarzystwa naukowego, przewodnicząc w wydziale rozszerzania oświaty między ludem, podał pierwszy podjętą obecnie przez „Macierz" myśl wydawnictwa książek odpowiednich, przeznaczając na ten cel kilka tysięcy zł. własnych funduszów.

Od roku 1859 r. stale zamieszkał w Warszawie. W rok potem został wizytatorem szkół a następnie przewodniczącym w komitecie egzaminacyjnym, utworzonym przy otwarciu Szkoły Głównej. Kandydaci do tej szkoły, zdający wówczas egzamina, pamiętają zapewne jaką opieką otaczał ich czcigodny kapłan — a po ukończeniu prac komissyi, przypadające mu kilka tysięcy zł. wynagrodzenia, przeznaczył na spłatę wpisowego za najbiedniejszych, oraz na nagrody za prace konkursowe. W r. 1865 ks. Jakubowski mianowany został proboszczem parafii Ś. Krzyża, i obowiązki te spełniał do roku 1879, w którym ciężką dotknięty chorobą, zapragnął dobrze zasłużonego spoczynku, nie przestając jednak ani na chwilę żywego przyjmować udziału we wszystkiem co tylko odnosiło się do spraw kraju i oświaty. W r. 1877 ks. Jakubowski obchodził 50-letni jubileusz kapłaństwa.—Pozostawił po sobie wiele prac literackich w najżywotniejszych kwestyach, tyczących się gospodarstwa krajowego, oświaty ludowej, szkół, wychowania publicznego i t. p. Rozprawa jego „O podniesieniu przemysłu i fabryk w Galicyi" zwróciła tam powszechną uwagę i jego też usiłowaniom zawdzięczać należy pierwsze tam exploatacye nafty. Do końca życia pomimo podeszłego wieku i cierpienia był współpracownikiem wielu pism warszawskich i wdzięczni ich przedstawiciele złożyli na trumnie piękny wieniec z napisem „ks. Adamowi Jakubowskiemu, prasa warszawska." Nie ma pewnie nikogo tak dobrze znającego piśmiennictwo polskie, nie ma książki wydanej u nas, o którejby nie wiedział, każdej chwili wskazał pytającemu o jakieś dzieło, przez kogo, gdzie i kiedy było wydane, a często nawet liczbę stronic. Pomimo wielu smutnych przejść w życiu i dotkliwych nieustannych prawie cierpień w ostatnich kilku latach, nigdy nie narzekał, nie opuszczała go słodycz charakteru i ten prawie ewangeliczny spokój ducha dany tylko wybranym. Robił wiele dobrego, rady, pomocy i poparcia nie odmawiał nikomu. Śmierć czcigodnego kapłana jest smutną dla społeczeństwa stratą. Cześć jego pamięci!

⁂ Nowy obraz Siemiradzkiego „Chrystus uśmierzający burzę" umieszczony już został w ołtarzu kościoła ewangielickiego w Krakowie. Nowy ten utwór sławnego artysty wykazał nieznaną dotąd stronę jego talentu, dowodząc, że i w zakresie religijnego malarstwa umie tworzyć dzieła głęboko odczute. Powaga, prostota, szlachetny, spokojny ton panujący w całej kompozycyi, przekonywają, że głęboko myślący artysta umie poświęcić dla wyższych zadań sztuki, świetny, kunsztowny przepych swego pendzla.

Obraz przedstawia znaną z ewangelii scenę burzy wśród rozhukanych fal, którą przerażeni uczniowie, zbudzili Boskiego Mistrza, błagając o ratunek. Litując się nad ich przerażeniem, Chrystus stoi w łodzi wyprostowany, w całym majestacie władzcy fal i burzy, promienny duchową jasnością, wpatrując się w piętrzące się przed chwilą już opadające fale i ruchem podniesionej w górę ręki nakazuje im zupełne uciszenie. Dokoła mrok, ciemność, niebo pokryte chmurami. W tym mroku kołysze się łódź unosząca Chrystusa i uczniów Jego, tylko od strony widza rozświetlają się lekkiemi odblaskami wzburzone i pieniące się ale opadające już bałwany. Po za łodzią widać tylko nieboskłon czarnemi pokryty chmurami. Głowa Chrystusa na tle czarnych chmur świetlaną otoczona aureolą, jakby opromioniona światłem padającem z pośród rozstępujących się w tem miejscu obłoków, rzuca blask swój na otoczenie. Jaśniej tak samo podniesiona w górę, obrócona dłonią ręka, namalowana mistrzowsko. Znać, że ręka ta nakazuje i błogosławi zarazem, że boskością ducha i miłością panuje nad światem. Po tej samej stronie co Chrystus, św. Jan siedzi przy sterze łodzi. Młodzieńcza, anielsko czysta i natchniona twarz jego, nie przestrach ale rozrzewnienie maluje. Może żal mu siedzących po drugiej stronie łodzi, dręczonych śmiertelną trwogą a może i własnego życia, czując że nie spełnił jeszcze swego posłannictwa. Patrzy jednak spokojnie, a łzami zroszone oczy wzniesione w górę wybiegły w świat daleki, pewnie za obietnicami Mistrza którym ufa. Trzy postacie uczniów po prawej stronie wyrażają mniej więcej trwogę, osłupienie lub niemą prośbę do Boskiego Nauczyciela.

Prześliczny, ten obraz odznacza się wzniosłem pojęciem i mistrzowskiem wykonaniem. Wszystkie postacie odziane są w ciemne lub szare draperye, nie wystają nigdzie jaskrawym kolorytem z mrocznego tła obrazu. Nigdzie nie ma żywszych barw, silniejszego kontrastu, a jednak w tym przyćmionym tonie nie brakuje nic niezbędnego do uwydatnienia pełni artystycznego obrobienia.

Widzimy więc, że i na tem nowem dla siebie polu, Siemiradzki umie być mistrzem.

⁂ Z Madrytu telegrafują do „Temps", o wielkich zamieciach śnieżnych i mrozie w Hiszpanii. Od trzech dni na ulicach Madrytu leży śnieg po kolana. Wszelki handel stał się niemożliwy. Powozy i tramwaje przestały krążyć. Ruchu żadnego, ledwie tu i owdzie ukazują się rzadcy przechodnie i z trudnością brną po śniegu. Kto tylko może, pozostaje w domu. Od r. 1865 nie było w Hiszpanii takiego zimna. W skutku zasypania torów kolejowych komunikacye są przerwane. Ogromne masy śniegu spadły w prowincyach północnych i zachodnich. Termometr w Madrycie wskazuje 6 stopni mrozu.

⁂ Teatr polski w Poznaniu, jedna z niewielu instytucyi krajowych, budzi w księztwie ogólne zajęcie i na zapewnienie bytu, choć powoli ale ciągle napływają składki. Jedno z pism poznańskich podaje ofiarę z 3 marek zaoszczędzonych na portoryum biletów z powinszowaniem, wraz z projektem aby każdy przesyłał je w kopertach za tańszą opłatą, a przewyżkę oddawał na teatr. Studenci Polacy z Lipska przysłali 38 marek, i podobnych składek jest bardzo wiele. Wyróżnia się z ich szeregu ofiara i projekt p. Konstantego Dziembowskiego z Roszkowa (powiat wągrowiecki) który na licznem u siebie zebraniu zaproponował składkę fenigową od każdego morga. Projekt został przyjęty, i w tym celu utworzone zostaną komitety powiatowe. Dotychczas złożono w ten sposób 423 marki, jako składkę od 42,000 morgów. Pomysł dobry i łatwy do wykonania

Zawiadomienia.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami, Prospekt pisma peryodycznego p. t. „Słowo", oraz Prospekt „Biesiady Literackiej".

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 7 Декабря 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 51, r. 1882.

WALKI ŻYCIA.

PRZEMYSŁOWIEC.

Przez

Jerzego Ohnet.

(Przekład z francuzkiego.)

(Dalszy ciąg.)

Na tarasie piasek zaskrzypiał od licznych kroków, wesołe odgłosy dochodziły przez okna do salonu. Na peronie ukazał się Filip prowadzący pod rękę baronową. Za nimi szedł książę i la Brède, i śmiejąc się rozmawiali z sobą. Moulinet nie odstępował barona.

Zobaczyli zaraz Atenais i Klarę, które blade i drżące stały naprzeciw siebie. Postawa obu tak była uderzającą, że zatrzymali się zdziwieni. Wtedy Klara z podniesioną głową, spokojna w sumieniu, silna przebytem cierpieniem, postąpiła ku środkowi salonu, i wskazując Atenais przygniatającym ruchem:

— Książe, rzekła, wyprowadź ztąd swoją żonę, jeźli nie chcesz abym w obec wszystkich nie wygnała jej z mego domu.

De Bligny stał zimny i nieruchomy — blady uśmiech przesunął się po jego ustach. Moulinet własnym nie wierząc uszom, podniósł ręce ku niebu i wysuwając się, zawołał:

— Wygnać moją córkę!... moją córkę księżnę!... zawołał napuszenie, jak gdyby ubliżenie jej ubliżało zarazem całej szlachcie i arystokracyi francuzkiej.

Atenais zwróciła się do księcia, wołając ostrym głosem:

— Czyż pozwolisz, książe, znieważać mnie bezkarnie!

Bligny postąpił parę kroków, i przysuwając się do Filipa, rzekł spokojnie:

— Czy potwierdzasz pan co pani Derblay powiedziała księżnej?... Czy gotów jesteś przeprosić lub też przyjmujesz odpowiedzialność za te słowa?...

Było to krótko, grzecznie, ale zarazem dojmująco jak ostrze stali.

Klara wlepiła w męża niespokojne spojrzenie— czy wyrzecze się jej postępku lub jawnie stanie po jej stronie?... Przez chwilę straszny miotał nią niepokój—w tej chwili przecierpiała więcej niż kiedykolwiek w życiu.

Po przemówieniu księcia, właściciel kuźni zbliżył się do niego. Wysoka jego postać przedstawiła się w całej swej męzkiej sile. Przenosił księcia głową; poważnie i energicznie, rzekł głosem tak silnym że aż słuchacze zadrżeli:

— Potwierdzam i uznaję wszystko cokolwiek mogła powiedzieć lub zrobić pani Derblay, będąc pewnym że co bądź uczyniła, musiała mieć słuszne tego powody.

Książę ukłonił się z niezrównaną elegancyą, zwrócił się do pana La Brède i skinąwszy na niego, rzekł:

— Rozumiemy się!

Potem podał rękę pomięszanej Atenais i wyszedł a za nim zrozpaczony Moulinet i wierny La Brède, który mruczał pod nosem:

— Do licha! głupia sprawa! Dwaj kuzyni! Bligny jest obrażoną stroną, wybierze pistolety... Właściciel kuźnic przepadł!

Widząc jak rywalka jej wychodzi upokorzona i pokonana, Klara uszczęśliwiona nie pomyślała jak groźne następstwa śmiały jej postępek pociągnąć za sobą musi. Wydała okrzyk tryumfu, i zbliżając się do męża z niewysłowioną wdzięcznością, zawołała z uniesieniem:

— Och! dziękuję ci, Filipie, i wyciągnęła ku niemu ręce.

Uniesienie jej rozwiało się w jednej chwili, gdy ujrzała że mąż stoi nieruchomy.

— Zupełnie nie masz mi za co dziękować, rzekł, gdyż stając w twej obronie broniłem swego honoru.

Klara oniemiała przerażona.

— Nie zapominaj że masz gości, dodał, i że nikt nie powinien domyślać się co tu zaszło.

Podał rękę baronowej tak przerażonej i osłabionej, iż chciało jej się zarazem śmiać i płakać. Klara otarła łzy spadające jej po jej twarzy, i uśmiechając się smutnie do pozostałego przy niej barona, rzekła:

— Chodźmy więc tańczyć, kiedy trzeba koniecznie!

XVIII.

Noc wydawała się Klarze niesłychanie długą; wszedłszy do swego pokoju zrozumiała i przeraziła się niewymownie możnością i niebezpieczeństwem położenia. Zapewnie postąpieniem swojem nie przekroczyła granic praw jej przysługujących; zagrożona i znieważona w własnym domu przez nielitościwą nieprzyjaciółkę, oburzyła się i wygnała ją od siebie. Ale osobista jej sprawa stała się ogólną. Mąż zmuszony został wystąpić w jej obronie — co wywołało przemówienie się jego z księciem. Miała jeszcze przed oczami zagadkowy uśmiech księcia de Bligny, gdy powiedział do pana La Brède: Rozumimy się! i dreszcz przejmował ją na samo jego wspomnienie.

Wiedziała jak groźnym przeciwnikiem był de Bligny—gdyby miało przyjść do pojedynku, Filipowi wielkie zagrażałoby niebezpieczeństwo. Zauważyła iż przy końcu balu, Oktawiusz i baron umawiali się o coś z panami La Brède i Moulinet'em. Zapytywała barona i brata—obaj dali jej wymijające odpowiedzi, mówiąc że umawiali się o to aby załatwić sprawę i sprowadzić zgodę. W szczegóły wchodzić nie chcieli.

Klara rozmyślała nad tem jaka umowa i zgoda była możebną do przeprowadzenia między dwoma tak nienawidzącymi się ludźmi. Książę wyraźnie postawił swe żądanie: przeproszenie lub przyjęcie na siebie odpowiedzialności, to jest danie zadośćuczynienia. Ani przez myśl jej nie przeszło aby Filip chciał tłómaczyć się i przepraszać—a więc nastąpi pojedynek.

Klara pochodziła z dzielnego i mężnego rodu, w którym kobiety nie lękały się szczęku broni. Jedna z księżnych de Bligny, prababka jej ze strony matki, przebiegała rozdroża i ścieżyny Wandei z oddziałami Stofflet'a, i w razie zdarzonej sposobności, nie wahała się strzelać do niebieskich. Ojciec jej, margrabia de Beaulieu, mając lat szesnaście, zamknął się w Penissière, i tam, po trzech dniach, znaleziony został pod gruzami fermy, z ręką przestrzeloną kulą. Miała więc po kim odziedziczyć męztwo. Dla siebie nie lękałaby się śmierci—ale tu szło o Filipa. Przyłączyła się jeszcze jakaś zabobonna obawa — wyobraziła sobie że ten związek jej z właścicielem kuźnic, przeznaczenie czarną napiętnowało wróżbą. W sercu jej zbudziło się okropne przeczucie iż jeźli przyjdzie do pojedynku mąż jej zostanie zabity. Straszne obrazy przesuwały się przed jej wzrokiem.

Na murawie krwią zbroczonej widziała leżącym martwego już Filipa; książę stał przy nim trzymając w ręku dymiący jeszcze pistolet, i śmiał się swoim niegodziwym śmiechem. Zkąd przyszedł jej na myśl pistolet, ta broń tak niebezpieczna? pytała sama siebie pragnąc zarazem wmówić w siebie że może bić się będą na szpady — daremnie. Ciągle obaj stali jej przed oczami z pistoletami w ręku, i słyszała podwójny wystrzał, widziała podnoszący się w powietrzu niebieskawy dym i Filipa, jak ugodzony śmiertelnie padał ciężko na ziemię.

Chcąc odpędzić straszną tę zmorę męczącą ją na jawie, przystąpiła do otwartego okna. Powietrze było łagodne i spokojne, noc nadzwyczaj przejrzysta, niebo iskrzyło się gwiazdami. W pośród drzew parku dogasały weneckie latarnie, podniecane chwilowo lekkim podmuchem wietrzyku, błyszczały w ciemności jak czerwone punkciki. Patrzyła na nie z przerażeniem, gdyż wydawały jej się kroplami krwi. Zdjęta niewysłowioną trwogą, zamknęła okno i zapuściła roletę aby nie wiedzieć tych strasznych błysków.

Zamyślona, zaczęła chodzić po pokoju, dręczona straszną obawą śmierci Filipa. Sama nie wiedząc o tem, wołała głośno:

— Ściągam nieszczęście na każdego co się zbliży do mnie!"

I przestraszyła się dźwiękiem własnego głosu rozlegającego się wśród ciszy. Chcąc odegnać dręczące myśli rzuciła się na kozetkę i wziąwszy książkę próbowała czytać — nie mogła — dzwoniło jej w uszach jakby odgłos pogrzebowego dzwonu.

Zerwała się chcąc iść zobaczyć co Filip robi w swoim pokoju. Na końcach palców przebiegła mały salonik i stanęła pod drzwiami pokoju męża. Ciemno w nim było i cicho; nie było światła, najlżejszy szmer słyszeć się nie dawał. Sądząc że Filip śpi, wróciła do swego pokoju i resztę nocy przebyła jakby w pół-śnie, strasznym miotana niepokojem.

Filip nie spał i nie był w sypialnym pokoju; zamknął się w gabinecie swoim położonym na dole, pod pokojem Klary. Nie wątpił o ważności jutrzejszego z księciem pojedynku. Świadkowie porozumieli się tego zaraz wieczoru, a że szło o sprawę ważną ale nadzwyczaj prostą, postanowienie szybko zapadło.

Pomimo rozpaczliwych nalegań i błagań Moulinet'a, który chciał koniecznie nie dopuścić pojedynku, umówiono się że spotkanie nastąpi nazajutrz

o godzinie ósmej rano. Za miejsce walki obrano miejscowość odgraniczającą lasy Pont-Avesnes i la Varenne, to jest też samą w której kilka dni przedtem rozlegały się wesołe rozmowy i śmiechy myśliwych, biesiadujących tu przy suto zastawionych stołach.

Jako broń, książę wybrał pistolety — odległość oznaczono na trzydzieści kroków, strzały dowolne. Filip przystał na te warunki. Wprawdzie nie miał wprawy w strzelanie z pistoletu, ale z broni myśliwskiej strzelał nadzwyczaj celnie i słynął za doskonałego strzelca. Ufny w celność strzałów swoich, myślał sobie z dziką radością, że choć sam narażał się na śmierć, ale za to pewnym był prawie że zada ją także przeciwnikowi.

Obaj zapaśnicy zarówno nadzwyczaj byli odważni i zimną krwią obdarzeni—a między takimi zapaśnikami trudno było wyrokować który wyjdzie zwycięzko—to tylko zdawało się nie ulegać wątpliwości że jeden śmierć poniesie.

Pozostawiony sam sobie, z myślą że może już tylko kilka godzin życia mu zostawało, Filip zatonął w głębokiem rozmyślaniu. Rozważnie i sumiennie zastanawiał się nad postępowaniem swojem. Jedna myśl go dręczyła: pytał sam siebie czy nie za surowym był dla Klary. W tej tak ważnej życia chwili, uczuwał głęboką litość dla tej nieszczęsnej istoty, która łzami zmazała winy swoje. Pojmował teraz że wszechwładnie zapanował w jej sercu. Dumna i zimna Klara, która odtrąciła go tak bezlitośnie, zamieniła się w kobietę ukorzoną, tkliwą, pełną poświęcenia. Ciężka próba na jaką ją skazał spowodowała tę błogą przemianę. Teraz mógł być pewnym niemal, iż jeżli wyjdzie żywym z tego pojedynku, Klara miłość jego bezgranicznem odpłaci uczuciem, jeźli zginie, na zawsze pozostanie w jej pamięci.

Był to właśnie cel do którego zmierzał — i doszedł go ale nie przekroczył. To przekonanie uspokoiło go nieco. Sumienie nie wyrzucało mu już że złamał bezlitośnie ten żelazny charakter, aby go urobić według swej woli—widział w tem bowiem rękojmię szczęścia Klary, jeźli los sprzyjać mu będzie w tym pojedynku.

Pozostawiona samej sobie, w stanie tak wielkiego rozstroju moralnego, byłaby niemylnie pozostała nieszczęśliwą na całe życie. Wyższym obdarzona umysłem, nie mogłaby nie pojmować że całe życie jej było złamane, a zbyt dumna aby przyznać że sama temu winna, byłaby się martwiła i gryzła w skrytości, szarpana jałowym żalem i nieuzasadnionemi wyrzutami względem innych. Dana jej nauczka musiała zbawienne wydać owoce. Klara weszła w siebie i zastanowiła się głęboko: odzyskała spokój wewnętrzny, serce się wzbudziło — teraz dojrzała już do szczęścia.

Ale, niestety! trzebaż żeby właśnie w chwili gdy dzieło odrodzenia zostało dokonanem w zupełności, i piękna przyszłość uśmiechała się do Klary, niezsęsny los mógł w bezdennej pogrążyć ją rozpaczy!..

Wśród ciszy nocnej, Filip usłyszał nad sobą odgłos kroków i zadrżał. Zaczął nasłuchiwać. Był to regularny, jednostajny, automatyczny chód biednej kobiety tak straszne przechodzącej męczarnie, sufitem tylko oddzielonej od niego—a jednak tak oddalonej skutkiem nieubłaganej woli znieważonego męża.

W każdem dotknięciu stopy Klary o posadzkę, Filip odczuwał straszny niepokój zrozpaczonej Klary. W myśli widział ją chodzącą do koła pokoju, z suchemi oczami, ze zmienioną twarzą, drżącemi rękami, z tym wyrazem obłędu jaki twarz jej przybierała w chwilach szalonej boleści i gniewu. Serce mu się ścisnęło — po raz pierwszy uczuł się bezsilnym w obec swej miłości. Dławiło go w gardle, puls w skroniach bił gwałtownie, ogarniała go gwałtowna chęć aby co prędzej pobiedz do tej kobiety którą ubóstwiał a nie posiadał dotąd. Jak dziecko obmyślał różne powody usprawiedliwiające ten jego zamiar. Nie byłożby to szaleństwem narażać się na śmierć nie przycisnąwszy jej do serca, nie ucałowawszy jej ust i woniejących zwojów ślicznych jasno-bląd włosów?...

Wiedział teraz że dość jedno wyrzec słówko aby padła w jego objęcia... Dzień nie prędko jeszcze zaświta — jutro już może nie jego — mógł więc w ostatnich godzinach życia, nadziemskiej zakosztować rozkoszy... Na samą tę myśl uczuł zawrót głowy—dreszcz go przebiegł... Postąpił kilka kroków — i już ręką dotykał klamki — gdy nagle powstrzymała go zbudzona do życia wola.

Jakto? on!... on!.. miałby uledz tak nizkiej słabości? przecierpiawszy tak wiele, w ostatniej chwili zawinić brakiem odwagi? Miałżeby poniżyć się do tego stopnia, aby iść żebrać o kilka godzin poniżającej rozkoszy, błagać o nią kobietę którą poskromił i zwyciężył?... Była to godzina stanowcza, mająca zarówno materyalnie jak moralnie stanowić o jego życiu!..

Jeźli żyć będzie, Klara będzie jego, bez nakręcań teraźniejszości, bez obawy na przyszłość—jeźli umrze, zostanie w jej oczach wielkim, dumnym, nieugiętym. Jak gracz wytrawny, chciał ryzykować grę bez ograniczeń—wszystko albo nic!... Całe życie czystego szczęścia — lub cisza i zimno grobu. I niezachwiany już, odstąpił ode drzwi i usiadł przy biurku.

Nad głową jego rozlegał się ciągle gorączkowy chód Klary. Słyszał jak otworzyła drzwi i na palcach przeszedłszy salon, stanęła przy progu jego pokoju. Uśmiech przesunął się po jego ustach. Niebawem Klara znowu przez salon wróciła do swego pokoju. Tak więc i ona zarówno jak on myślała o pojednaniu, i ona także zastanowiła się i cofnęła. Pojmował teraz jak nizko zstąpiłby z wyżyn na jakich stał teraz, gdyby był poszedł do niej... Przestałby być człowiekiem wyższym którego wola panowała nad wszystkiem, i stał się istotą podrzędną, będącą na łasce zmysłów.

Blady świt zwiastujący dzień przypomniał mu kłopoty materyalne, jakiemi w ostatnich chwilach zająć się musiał. Jeźli miał umierać, chciał zapewnić siostrze silną i troskliwą opiekę. Poznał i umiał ocenić gruntowne przymioty młodego margrabiego do Beaulieu; wiedział że można liczyć zarówno i na umysł i na serce jego.

Dla tego jedynie odpowiedział odmownie na prośbę Klary, aby pozostać wiernym swojej taktyce małżeńskiej i cięższym jeszcze nad inne ciosem ugodzić w serce Klary. Czuł wtedy że zbliża się stanowcze przesilenie, i przyrzekł sobie wynagrodzić niezwłocznie krzywdę uczynioną Oktawiuszowi. A potem, wszak Zuzanna go kocha — serce ściskało mu się na samą myśl zmartwienia tego ukochanego dziewczęcia, któremu zawdzięczał najmilsze w życiu swojem chwile.

Postanowił połączyć zakochaną parę, a chcąc przyzwolenie swoje uczynić uroczystszem, nadał mu formę testamentu. Zabrał się do napisania go ze spokojną rozwagą. Cały swój majątek rozdzielił na dwie równe części, przeznaczając jedną dla Zuzanny a drugą dla Klary, prosząc „ukochanej swojej żony, aby raczyła przyjąć to na pamiątkę bezgranicznej miłości jaką ją ukochał.” Wybrał najzdolniejszego i najuczciwszego ze swoich inżynierów, przeznaczając go na dyrektora kuźnic.

Załatwiwszy się z interesami, postanowił przedrzemać się trochę, aby ręka mu nie drżała i wzrok nie zdradził. Rzucił się na szeslong, i westchnąwszy zamknął oczy.

W pałacu la Varenne wielkie panowało wzburzenie. Atenais powróciła z Pont-Avesnes wściekłym miotana gniewem. Trzebaż aby właśnie w chwili gdy ta która od lat tylu tak zawzięcie nienawidziła, zdawała się stanowczo upokorzoną i na jej łasce; jeden śmiały krok podniósł ją znowu, i znowu mogła być dumną i tryumfującą. A ona, ona! księżna de Bligny! została pokonaną, poniżoną i wygnanął... Pojmowała doskonale że to głośne zerwanie z rodziną męża, nienagrodzoną przynosi jej szkodę.

Cała rodzina księcia trzymała stronę Klary. Powód pojedynku rozgłosi się niebawem, i wszyscy rozpowiadać będą sromotne jej wypędzenie, z domysłami i dodatkami wymyślonemi przez wielki świat tak ją nienawidzący.

Na samą tę myśl, Atenais zgrzytała zębami ze złości, dzika żądza zemsty budziła się w jej duszy—gdyby mogła, w tej chwili poszarpałaby wszystkich. Żałowała gorąco że nie może stanąć zamiast księcia, bo w takim razie krwawa zemsta lepiej i pewniej byłaby dokonaną. W myśli widziała Klarę wdową i w żałobie, bladą, zrozpaczoną, przeklinającą godzinę w której znieważyła swoją rywalkę... Cieszyła się myślą że pozbawiając ją męża którego kochała, ugodzi w samo źródło jej życia. Roześmiała się strasznym jakimś śmiechem, rzuciła gwałtownie na stół wachlarz i rękawiczki, i zwracając się do męża i ojca którzy milcząc patrzyli na nią, zawołała z wściekłością:

— Zabić, zabić tego człowieka, stającego w obronie tej co mi taką wyrządziła obelgę! Niech zginie!

Chwila osłupienia.

Moulinet milczał przerażony tym tragicznym wykrzykiem córki: książę zadziwił się niewymownie widząc iż Atenais tak zaciętą jak on pała nienawiścią. Gniewał się na nią że nie umiała zapanować nad sobą i doprowadziła do skandalicznego zajścia, którego wynikiem było poniżające wydalenie ich obojga. Przyzwyczajony do fałszywych słodkich słówek i nienawiści ukrywanych pod uśmiechami i zapewnieniami przyjaźni, jak się to zazwyczaj dzieje w wielkim świecie, patrzył pogardliwie na Atenais, wydającą mu się nadzwyczaj ordynarną i nieznośną. Nie podobało mu się także przybieranie postawy à la Borgia; popatrzył zimno na żonę i odparł lekceważąco:

— Zabić tego człowieka! łatwo to powiedzieć, moja kochana... Wiedz o tem że podobne frazesy dobry efekt sprawiają w dramatach — ale w codziennem życiu są śmieszne i napuszone. Proszę oducz się używania wielkich słów i giestów — nic nie może być trywialniejszego.

Zamilkł, po chwili jednak dodał z zimnym uśmiechem:

— Zresztą możesz być pewna że uczynię co tylko będzie w mej mocy aby cię zadowolnić.

— Pozwól, książę, rzekł po namyśle Moulinet; widzę iż zamierzasz posunąć się do ostateczności...

— A czyż nie słyszałeś, kochany panie, co powiedziała twoja córka? odrzekł zimno książę de Bligny. Czyż sądzisz pan że tak lekceważę moje obowiązki, abym nie miał wystąpić w obronie mojej żony?

— Nie o to chodzi, odrzekł Moulinet. Muszę

przyznać że postąpiłeś książę jak najpoprawniej— ale córka moja jest szalona popychając cię do gwałtownej ostateczności — zamiast zachęcać do pojednania i zgody. Wszystko da się jeszcze ułożyć... Pojednać się, uściskać i koniec... Lekka sprzeczka między dwoma kuzynkami i przyjaciółkami — toć przecie nic tak nadzwyczajnego, aby zaraz doprowadzać miało do pojedynku, skandalu i zerwania... Czy zastanowiłeś się książę jakie z tego wynikną następstwa... Dla ciebie byłyby nader ważne... dla mnie... dla mnie nader zgubne... Zabiłbyś moją kandydaturę!

Pomimo ważności położenia, książę nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Atenais rozparta w fotelu i skurczona jak gadzina, wydała jakiś syk pogardliwy.

— Przebacz książe, rzekł z powagą Moulinet, ale tyle zrobiłem dla ciebie, iż zdaje mi się mogę także dla siebie czegóś wymagać. Trzeba koniecznie załagodzić tę nieszczęsną sprawę... Podobne wydarzają się codziennie i kończą się pojednaniem... I rzecz to bardzo łatwa. Zredaguje się wywód słowny, w którym powiedziane będzie że pani Derblay odwołuje co powiedziała. Córka moja także odwoła swoje słowa i koniec. Wtedy ty, panie zięciu, cofniesz swoje wyzwanie—a gdy tak każdy coś cofnie i odwoła — z całej tej sprawy nic nie pozostanie...

— Jak mam także cofnąć się i oddalić—dorzucił książę.

— Albož tak się nie robi?

— Tylko nie wtedy gdy chodzi o takich ludzi jak ja i Derblay, odrzekł książe! Wierzaj mi, panie Moulinet, nakaż milczenie swemu najlepszemu sercu, zaprzestań użalań przestraszonego kandydata i zostaw rzeczy jak są... A teraz dobranoc—odchodzę, bo mam jeszcze do pomówienia z La Bréde'm a potem pójdę spać.

I ukłoniwszy się zimno żonie i teściowi, książę wyszedł z pokoju.

Moulinet postąpił kilka kroków i zbliżył się do Atenais.

— No, kochane dziecię, wyszeptał.

Księżna ani spojrzała na niego, zimna i blada wstała z fotela, i nie spojrzawszy nawet na ojca, gniewną ręką popchnęła drzwi swego pokoju i wyszła. Moulinet smutnie potrząsł głową, i po raz pierwszy w życiu musiał przyznać że nie wszystko na świecie da się zrobić pieniędzmi.

— Trzeba iść spać, pomyślał, jutro rano zobaczę co robić.

I pocieszając się jakąś płonną nadzieją, poszedł położyć się w łóżku Karola V-go.

Od dwóch może godzin właściciel kuźnic spał spokojnie, gdy przebudziło go lekkie uderzenie w ramię. Otworzywszy oczy i zobaczywszy stojącego przy sobie margrabiego de Beaulieu, zerwał się prędko. Dzień już był dobry; zegar wskazywał w pół do siódmej.

— Jeszcze mamy dość czasu, szepnął Filip.

Nigdy nie czuł się silniejszym i swobodniejszej myśli — i w duchu dumnym był z tego. Ten człowiek żelaznej woli, doznawał żywej radości ilekroć dowodziło coś moralnej jego siły. Poszedł do okna i otworzył je. Odetchnął całą piersią czystem ożywczem powietrzem, nasyconem wonią zwilżonych rosą kwiatów. Powiódł okiem po cienistym parku. Lekka przezroczysta niebieskawa mgła, jakby zasłonę zawiesiła po nad drzewami, a słońce wzeszło już dość wysoko, blaskiem swym oświetlając cichą wód powierzchnię. Zdawało się że chcąc mu umilić ostatni może dzień życia, przyroda roztoczyła wszelkie swoje wdzięki.

— Prześliczny dzień! zawołał Filip, tak wesoło, jak gdyby wybierał się na spacer lub polowanie.

Oczy jego spotkały się z oczami margrabiego, w którego wzroku wyczytał niemą wymówkę. Zbliżył się do szwagra i rzekł serdecznie ściskając dłoń jego:

— Nie miej mi za złe że jestem spokojny i prawie wesoły — mam jakieś przeczucie że dla mnie wszystko się dobrze skończy.

Spoważniał w jednej chwili.

— Lecz ponieważ należy być przewidującym, zrobiłem w nocy ostatnie rozporządzenia — znajdziesz je w tym liście napisanym do notaryusza.

Wskazał mu leżącą na biórku zapieczętowaną kopertę, na której wyczytał adres do Bachelin'a:

— On jako dawny mój przyjaciel, i ty Oktawiuszu, będziecie wykonawcami mego testamentu. Tobie, kochany bracie, przekazałem co mam najdroższego...

Niewysłowiona radość zabłysła w oczach margrabiego. Chciał przemówić, słowa uwięzły mu w gardle; ujął w objęcia Filipa, i wsparłszy głowę na ramieniu Filipa, rzewnemi zalał się łzami.

— Bądź mężniejszym, kochany Oktawiuszu; mam jakąś nadzieję że z mojej ręki otrzymasz Zuzannę... lecz jeźliby mnie już nie było gdy pojmiesz ją za żonę... kochaj ją bardzo, bo warta tego. Serce jej tak czułe, tak silnie przyjmuje wszelkie wrażenia, że każde zmartwienie mogłoby ją zabić.

Gdy mówił o tem dziewczęciu któremu zastąpił miejsce ojca, głos stał się słodkim i łagodnym; potem przesunął ręką po czole i rzekł spokojnie:

— Czas już się ubierać; przejdź ze mną do mego pokoju, spędzimy czas ten razem a potem pójdziemy do barona. Chciałbym oddalić się z domu bez zwrócenia uwagi...

Filip milcząc spuścił głowę, po chwili dopiero zdołał przemówić:

— Filipie, zanim tu przyszedłem byłem u siostry mojej... przyrzecz mi że nie odjedziesz nie zobaczywszy się z nią.

Filip zwrócił na margrabiego pytające spojrzenie.

— Nie może być abyś ją opuścił nie dawszy możności usprawiedliwienia się w twoich oczach, jeźli to da się usprawiedliwić..

A gdy właściciel zwrócił się nagle ku niemu zdziwionem orzucając spojrzeniem:

— Od trzech dni wiem co zaszło między wami, rzekł poważnie margrabia — Klara powiedziała mi wszystko. Wiem jak ciężko siostra moja zawiniła względem ciebie, boleję całem sercem nad tem co przecierpieć musiałeś, i uwielbiam szlachetność twoją i moc duszy, iż chciałeś i umiałeś nie okazać tego... Ale, błagam cię, Filipie, bądź dobrym, bądź pobłażliwym; będzie to godnem ciebie jeźli nie przywiedziesz do rozpaczy tej biednej, nieszczęśliwej kobiety. Człowiekowi obdarzonemu tak energicznym charakterem i taką mocą duszy wszystko powiedzieć można... Pomyśl tylko, Filipie, iż w razie nieszczęścia Klara nigdy cię już nie zobaczy... nie zostawiaj jej z tak strasznym wyrzutem sumienia że zatruła ci życie a może i wpędziła do grobu...

Filip zbladł i odwrócił głowę. Postąpił kilka kroków, potem rzekł zwracając się do Oktawiusza:

Zrobię co chcesz, ale widzenie to i dla niej będzie nader bolesnem... Staraj się więc aby mogło być jak najkrótszem.. ułatwij mi oddalenie, przychodząc po mnie.

Margrabia skinął głową potwierdzająco. Filip uścisnął dłoń jego i wyszli z pokoju.

XIX.

Baronowa rano bardzo przyszła do pokoju Klary, która po nocy spędzonej w strasznym niepokoju, siedziała teraz zdrętwiała, jakby nieprzytomna. Baronowa przemówiła do niej kilkakrotnie, i żadnej nie odebrbła odpowiedzi. Nieszczęśliwa jej kuzynka i przyjaciółka siedziała skulona na kozetce, bezwładna, z zaciśnietemi ustami; zdawało się że wszystkie jej siły ześrodkowały się w ponurem, błędnem spojrzeniu, utkwionem w jakieś przerażające widzenie.

Czas upływał, Klara siedziała nieruchoma; drgnęła tylko silnie za każdym razem gdy zegar wydzwaniał godzinę. Gdyby nie te odruchy i dziki blask jej oczu, możnaby sądzić że zasnęła w tej postawie.

Przybycie brata zbudziło ją z odrętwienia.

Zapragnęła całą duszą widzieć Filipa nim odjedzie, i jak tonący deski czepiała się tej nadziei. Rozgorączkowana, z wypiekami na twarzy, głosem zdradzającym bezmierną boleść, nalegała na brata aby wybłagał jej u męża tę najwyższą łaskę.

Od chwili oddalenia się jego, miotana rozpaczliwym niepokojem, biegała jak w gorączce już to do okna aby podnieść roletę i przekonać się że ją nie zwodzą, że Filip nie odjeżdża jeszcze, już to do drzwi, przy których nasłuchiwała czy nie idzie. Tak strasznie była zdenerwowana i rozgorączkowana, iż baronowa patrzyła na nią z niewysłowionem przerażeniem, obawiając się czy nie dostała pomieszania zmysłów.

Wtem usłyszawszy odgłos kroków, Klara nagle odskoczyła ode drzwi — jakby lękając się stanąć w obliczu tego, którego przyzywała całą duszą. Zbladła, czarne koła podkrążyły jej oczy — skinęła na baronową żeby odeszła. Stała na środku pokoju drżąca jak listek — głos zamarł jej w gardle.

Filip wszedł do pokoju.

Stali naprzeciw siebie, niespokojni, milczący.

On wpatrywał się z boleścią w jej twarz strasznie zmienioną, napiętnowaną śladem bezmiernych cierpień i katuszy jakie noc całą ją dręczyły. Ona, której zdawało się przed chwilą że tak wiele ma mu do powiedzenia, teraz daremnie chciała zebrać myśli, czuła w mózgu straszną próżnię i chaos.

Nie mogąc znieść dłużej tak przerażającego milczenia, Klara zbliżyła się do Filipa i ująwszy jego rękę zaczęła okrywać ją pocałunkami i łzami. Straszny jęk jednocześnie wydarł się z jej piersi.

Filip idąc do Klary przygotowany był na jej tłómaczenie się i prośby — wstrząsnął nim silnie ten czysto fizyczny wybuch boleści, o którego szczerości powątpiewać nie mógł. Chciał usunąć rękę na którą czuł padające łzy ukochanej kobiety — nie mógł tego dokazać. Zadrżał — ta nieprzewidziana jej słabość, jemu odbierała siły...

— Klaro, rzekł przyciszonym głosem,—przestań przez litość!.. Straszny niepokój budzisz w mej duszy... a powinienem zachować zimną krew... Błagam cię, uspokój się... bądź mężną... oszczędzaj mnie jeźli dbasz o moje życie..

Usłyszawszy te słowa, Klara podniosła głowę— teraz twarz jej całkiem inny przybrała wyraz.

Zdawało się że w tej chwili powzięła stanowcze postanowienie.

— Twoje życie! zawołała — ach! tysiąc razy swoje oddałabym za nie!... Ach! ja nieszczęsna! ja to szalonym uniesiona gniewem, naraziłam cię na to niebezpieczeństwo... Czyż nie byłam powinna znosić wszystkiego, i cierpieniem swojem okupywać

ciężkie winy jakich dopuściłam się względem ciebie... W szale uniesienia, zapomniałam o wszystkiem... Ale pojedynek ten jest szaleństwem... nie powinien, nie może mieć miejsca... potrafię nie dopuścić go...

— A jakimże to sposobem? zapytał Filip, marszcząc brwi.

— Poświęcając moją dumę dla twego bezpieczeństwa, odpowiedziała Klara. Oh! nie cofnę się przed niczem, skoro chodzi o ciebie... Upokorzę się przed księżną..., jeźli trzeba będzie zwrócę się nawet do księcia. Jeszcze czas.

Twarz Filipa przybrała surowy wyraz.

— Nie pozwolę na to! zawołał stanowczo. Nie zapominaj o tem że nosisz moje nazwisko, i że twoje upokorzenie i mnieby dotknęło... A potem czyż nie pojmujesz jeszcze że nienawidzę tego człowieka, tego sprawcy mego nieszczęścia!... Od roku już marzę we dnie i w nocy o spotkanie się z nim z bronią w ręku... i wierzaj mi, z radością chwytam tę chwilę!...

Klara spuściła głowę. Oddawna już przywykła słuchać woli i rozkazów Filipa.

Ochłonąwszy po tem gwałtownem przemówieniu, Filip rzekł łagodnie:

— Oceniam twoje dobre chęci i wdzięczny ci jestem za nie. W pierwszych chwilach naszego pobrania, zaszło między nami nieporozumienie, z powodu którego oboje wiele, wieleśmy przecierpieli... Nie składam na ciebie całej za to odpowiedzialności... i ja także zawiniłem że nie umiałem cię zrozumieć... nie umiałem poświęcić siebie... ale zanadto cię kochałem!... Nie chcę odjechać zostawiając cię w tem mniemaniu że zachowałem do ciebie niechęć i urazę... możesz być zupełnie spokojną... Teraz i ty, Klaro, przebacz mi coś ucierpiała... i pożegnaj się ze mną.

Słuchając słów tych, twarz Klary rozpromieniała. Wzniosła ręce ku niebu z uczuciem bezgranicznej wdzięczności, wołając z uniesieniem:

— Ja mam ci przebaczyć, ja!... A! czyż nie widzisz że cię kocham i uwielbiam?... Czyż nie wyczytałeś tego w moich oczach, w drżeniu mojego głosu?...

Zbliżyła się do Filipa i zarzucając mu ręce na szyję, wsparła swą złotowłosą główkę na jego ramieniu, upajając go swem pałącem spojrzeniem.

— Ach! nie jedź, nie pojedynkuj się, ukochany mój! mówiła. Gdybyś wiedział jak cię kocham!... Zostań ze mną i dla mnie, bądź moim i tylko moim!.. Jeszcze tak młodzi jesteśmy, tyle lat szczęścia przeżyć możemy!... Co cię obchodzi ten człowiek i ta kobieta?... oni nas nienawidzą, my zapomnijmy, nie myślmy o nich... Jedźmy gdzieś daleko, daleko... czy zgadzasz się na to?... Zdala od nich czeka nas szczęście, życie i miłość!...

Filip odjął lekko ręce obejmujące jego szyję, i odsuwając się nieco rzekł tylko:

— Ale tu zatrzymuje mnie honor i obowiązek.

Przeszywający jęk wydarł się z piersi Klary, okropna rzeczywistość stanęła jej przed oczami. I w jednej chwili ujrzała księcia z szyderskim śmiechem na ustach, z pistoletem w ręku, oczy jego patrzyły złowrogo. Rzuciła się ku Filipowi i chcąc gwałtem go zatrzymać, wołała:

— Nie!.. nie!..

W tej chwili drzwi się otworzyły, wszedł Oktawiusz, i skinąwszy na Filipa zaraz się oddalił. Klara zrozumiała że nadeszła godzina odjazdu, jak gdyby teraz dopiero spadła zasłona zaciemniająca jej umysł — pojęła że przeszkodzić temu nie zdoła. Przytuliła się do piersi męża, ściskając go konwulsyjnie.

— Bywaj zdrowa! wyszeptał Filip.

— Och! nie rozstaj się tak ze mną! wołała; nie odchodź z tym lodowatym na ustach wyrazem!... Powiedz że mnie kochasz!.. nie odjeżdżaj nie zapewniwszy mnie o tem!...

Ale Filip nie uczynił tego. Chciał powiedzieć że przebacza — nie chciał przyznać że kocha! Odsunąwszy lekko Klarę, postąpił ku drzwiom i mając już próg przestąpić, rzekł:

— Proś Boga abym powrócił! jakby słowami temi chciał wzbudzić w niej nadzieję szczęśliwej przyszłości.

I oddalił się, zamykając drzwi.

Klara wydała krzyk rozpaczliwy; — usłyszawszy go, baronowa wbiegła do jej pokoju. Jednocześnie dał się słyszeć turkot powozu unoszącego Filipa i margrabiego.

Nie zważając na obecność baronowej, Klara rzuciła się na szezlong chowając głowę w poduszki, nie chcąc nic widzieć ani słyszeć, pragnąc aby życie jej zostało zawieszone podczas strasznej, mającej upłynąć godziny. Tak przebyła czas jakiś.

Zerwała się nagle gdy zapukano do drzwi, a jednocześnie miły głosik Zuzanny zapytał:

„Czy można wejść?"

Klara zamieniła z baronową bolesne spojrzenie. Musiała więc udawać spokój, aby nie przerazić łagodnego dziewczęcia; — dotąd Zuzanna nie wiedziała o pojedynku.

Odemknąwszy nieco drzwi, Zuzanna wsunęła przez szparę swą śliczną wesołą twarzyczkę.

— Chodź, kochane dziecię, rzekła Klara.

I cudem woli powitała ją z uśmiechem.

— A to co! jeszcześ nie ubrana? zapytała Zuzanna, widząc bratową w rannym negliżu. Ja już cały park objechałam małym powozikiem.

I powiedziawszy to, zaczęła biegać po pokoju, jakby swawolne młodę kocię.

— Ale, ale! zawołała zatrzymując się przed Klarą; widziałam Filipa, jechał zamkniętym powozem z baronem i panem Oktawiuszem... Ale takie jakieś dziwne mieli miny. Ciekawam gdzie i po co jechali tak we troje.

Klara naprzemian czerwieniała i bladła. Skutkiem strasznego niepokoju zimny pot występował jej na czoło. Każde słowo Zuzanny kamieniem spadało jej na serce.

— O! jak tylko mąż mój jest z nimi, rzekła baronowa, to najniezawodniej chodzi o jakieś doświadczenie... lub zwiedzenie jakiejś kopalni kamieni...

— W którą stronę pojechali? zapytała Klara drżącym głosem.

— Ku rozdrożu, odrzekła Zuzanna. A może pojechali w odwiedziny do la Varenne?

— O! chyba nie, odpowiedziała baronowa, książę de Bligny nigdy nie wstaje przed dziesiątą.

Ktara nic już nie słuchała. W stronę rozdroża, powiedziała Zuzanna. I w tejże chwili stanęła jej przed oczami zielona murawa okolana na biało pomalowanemi baryerami, a dalej, w głębi, spokojne wody po nad które zwieszają się pochylone drzew gałęzie. Posępna ta i osamotniona miejscowość nadawała się doskonale na pole walki, na widownią scen tragicznych. To też była przekonaną że tam właśnie Filip i książę de Bligny mieli się pojedynkować — zdało jej się że widzi ich walczących z sobą.

I znowu ogarnął ją okropny niepokój, oraz nieprzeparta żądza dowiedzenia się co się tam dzieje. Nie mogła utrzymać się na miejscu; zerwała się i prędko włożyła suknię. Myśl którą natychmiast w czyn zamienić postanowiła, wytężyła wszystkie siły jej woli.

— Jeździłaś małym powozikiem, Zuziu? zapytała, i gdzieżeś go zostawiła?

— W dziedzińcu, w pobliżu stajni. Pewnie już wyprzęgają konie.

— Każę zaprzestać jeźli się do tego zabierają. Mam być w paru miejscach, wolę pojechać, piechotą byłoby trochę za daleko, rzekła prędko, i zarzucając koronkową zasłonę na głowę, wybiegła z pokoju.

Wsiadła do powozu sama, i chwytając lejce zaczęła pędzić prędko. Szybki ten ruch, zamiast uspokoić, podniecił jej gorączkę. Ogarnął ją jakiś szał pędzenia co koń wyskoczy, popędzała też coraz prędzej, powóz odskakiwał uderzając o korzenie i wyboje, grożąc co chwila przewróceniem lub połamaniem osi.

Nie zważała na żadne przeszkody, nie troszczyła się o grożące niebezpieczeństwo, starając się galopować coraz prędzej. Wszystkie jej nerwy naprężyły się, przygryzała usta i zazdroszcząc skrzydeł ptakom, nasłuchiwała z gwałtownie bijącem sercem, czy wśród ciszy leśnej nie rozlegnie się straszny odgłos wystrzału.

Niczem niezakłócona cisza panowała w lesie, tylko niekiedy dawał się słyszeć z oddali turkot kół powozowych, toczących się po gościńcu.

Wjechała na drogę mchem wysłaną, co tłumiło odgłos galopujących kopyt końskich. Biedny rumak tak był zziajany iż para wychodziła z niego unosząc się w kłębach dymu. Nareszcie potknął się i upadł. Wtedy Klara wyskoczyła prędko i zaczęła co tchu biedz przez las. Przeczuła instynktem że zbliża się do celu: zaczęła nasłuchiwać i dosłyszała w dali odgłos rozmowy.

Prędko rozejrzała się dokoła.

O dwadzieścia kroków dalej, nad brzegiem stawu, wznosił się chiński kiosk pana Moulinet'a przeglądając się w źwierciadle wód. Ztąd Klara niewidziana, mogła widzieć wszystko. Zwinna jak spłoszona łania, przesunęła się lekko wśród gałęzi, i przeszedłszy schody prowadzące do zdobiącej kiosk galeryi, stanęła na niej niespokojna i przerażona.

Baron chodził wielkiemi krokami po okrągłym placyku tuż obok rozdroża, mierząc odległość. La Brêde nabijał broń z pomocą zbladłego, na wpół żywego Moulinet'a. Filip chodził po przeciwnej stronie placyku, rozmawiając z Oktawiuszem i z doktorem. Książę stał o trzy kroki od kiosku z cygarem w ustach, obcinając trzymaną w ręku laseczką wysokie gałązki digitalisu.

Z bólem w sercu Klara przypomniała sobie owo polowanie, podczas którego plac ten zapełniony był tłumem jeźdźców i grupami elegancko strojnych kobiet, oraz liczną służbą obsługującą wykwintnie zastawione stoły. Wówczas wszystko jaśniało szczęściem i weselem—ją tylko dręczyła zazdrość, ale czemże ona była w porównaniu z męczarniami dręczącemi ją obecnie!... Patrzyła na tych dwóch ludzi którzy z jej powodu pragną wzajemnie wydrzeć sobie życie — i może za chwilę jeden z nich padnie martwy na zieloną murawę.

(*D. n*)

Opis do N-ru 51.

N. 1 i ryc. 38 w N-rze 52. Ubranie spacerowe z vêtement.

Do spódnicy czarnej atłasowej ogarnirowanej u dołu trzema wolantami, z przodu wysoko w bufy przemarszczanej, dodane jest sukienne vêtement, którego przody zdają się być podwójne, bo mają od spodu podszyte szerokie pasy atłasowe, ozdobione szlakiem wyszytym sutaszem. Takie wyszycie daje się także na pleckach, rękawach i kołnierzu, a desenie stosowne podaliśmy na arkuszu z krojami do N. 46 i 47 Tygodnika Mód. Brzegi vêtement naszyte są prosto pare razy sutaszem; układ podpięcia widoczny na ryc. 1 i 28 w N-rze 52.

N. 2. Ubranie spacerowe z pelerynką.

Suknia z materyału wełnianego w drobniutkie paski, ubrana była nowym rodzajem pluszu, wyrabianego w wypukłe paski, naśladujące plisowanie; z takiego pluszu dany, szeroki garnirunek na spódnicy i plisa na pelerynce, z przednich brzegów trochę przyfałdowanej i zapiętej na kryte haftki pod plisą. Z przodu na spódnicy dana jedna długa, suto sfałdowana bufa, a draperya tylna przypina się w górze na haftki na bawecie pleców.

N. 3 i 16. Serweta podłużna na środek nakrytego stołu, na szafkę bufetową lub t. p. Haft płaski i kratki ażurowe, robota na żołtawem płótnie kanwowem, lub na kanwie kongresowej.

Ryc. 16 przedstawia w naturalnej wielkosci próbkę szlaku z kratkami ażurowemi i deseń do haftu płaskiego na tle podzielonem w kraty, a na ryc. 20 i 21 w N. 52 dajemy powiększone próbki kratek i wskazujemy sposób wyciągania i wiązania pozostałych nitek. Na modelu haft płaski robiony był pelą oranżową i majowo zieloną, oba kolory używane były na przemian w równych częściach, w sposób wskazany na ryc. 16. Brzegi serwety oszyte były koronką nicianą 4 i pół cent. szeroką, robioną na klockach, na którą w rogach spadały kwasty jedwabne w kolorach haftu.

N. 10. Kołnierzyk z żabotem.

Ryc. 10 przedstawia kołnierzyk i żabot z czerwonawo-żółtej koronki; 4 cent. szeroki pasek ze sztywnego tiulu stanowi kołnierzyk pokryty gładko przyszytą, 7 c. szeroką koronką. Żabot robi się z 160 cent. długiego kawałka koronki 21 cent. szerokiej, w środku zaszytej w ząb spiczasty, ku końcom stopniowo do 12 cent. zwężonej, następnie ułożonej w fałdki, ściśle jedna na drugą zachodzące i zpiętej w górze płaską kokardą, z aksamitki ponsowej 2 i pół cent. szerokiej, ozdobionej klamrą z ciemnej stali.

N. 11. Kołnierzyk stojący z kokardą.

Model kołnierzyka zrobiony był z aksamitki szafirowej, 6 cent. szerokiej, we dwoje złożonej, w którą wkłada się 3 cent. szeroki a 38 cent. długi pasek sztywnego muślinu. Brzeg górny kołnierzyka oszyty 1 cent. szeroką wypustką z materyi niebieskiej w drobniutką kratkę. Do brzegów kołnierzyka przyszywają się końce z materyi 34 c. długie a 14 c. szerokie, które wiążą się na kokardę. Takie kołnierzyki stojące nazywają się col militaire.

N. 14. Ubranie domowe z paltocikowym stanikiem.

Mało widoczna, z pod długiej spódniczkowej tuniki spódnica oszyta jest jedną plisowaną falbaną. Tunika z przodu w kilka fałd podłużnych złożona z tyłu suto podpięta, oszyta jest plisą aksamitną, 30 cent. szeroką. Także plisa 15 cent. szeroka zdobi długi stanik paletocikowy, paskiem opasany, u dołu plisowaną falbaną oszyty. Wykładany kołnierz i mankiety aksamitne.

N. 15. Ubranie domowe ozdobione wyszyciem z sutaszu.

Bardzo ozdobne i niezwykłe ubranie spódnicy stanowią zęby spiczaste sutaszem naszyte, którego równo wystające końce dolne, na pojedyńcze nitki rozplecione, stanowią frendzelkę. Takiż węższy garnirunek można dać u dołu stanika i przy kołnierzu, lub ozdobić tylko przody mankiety i kołnierz, wyszyciem wskazanem na ryc. 15. Nad 15 cent. długiemi przecięciami kieszeni, dane pentle z sutaszu i guziki. Krótką draperyę tunikową zdobi kilka rzędów stębnówki. Model odrobiony był z sukienka granatowego.

N. 18—21. Pas do zawieszenia nożyczek. Robota macramé z nici szarych kordonkowych.

N. 22. Kokarda krawatowa ozdobiona haftem i koronką.

Model odrobiony był z kawałka materyi kremowej w drobne paski, mającego 23 cent. szerokości a 70 długości, oszytego 4 cent. szerokim szlaczkiem haftu robionego pelą na gazie jedwabnej i koronką 5 cent. szeroką, który układa się w jeden pukiel i dwa końce plisowane, przewiązane podwójnym, drobno fałdowanym węzłem.



N. 1. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 28 w N-rze 52.

N. 2. Suknia z pelerynką.

N. 24—27. Wachlarz do zasłonięcia się od ognia kominkowego. Haft kolorowy na atłasie.

Tekturowy fason wachlarza ma 25 cent. wysokości 24 górnej, a 15 dolnej szerokości; drewniana 17 cent długa rączka, od dołu okleja się gładko atłasem, a w górze zdobi bufą 10 cent. długą, sznurem jedwabnym i kwastami. Zwierzchnią stronę wachlarza pokrywa się czarnym atłasem, na którym wyhaftowany jest kolorowemi jedwabiami mały widoczek, do którego próbki haftu w naturalnej wielkości, dajemy na ryc. 26 i 27. Brzeg oszywa się sznurem jedwabnym i małemi pawiemi piórkami. Lewą stronę pokrywa się drobnemi czarnemi indyczemi piórami, w łuszczkę naszytemi i rzędem piórek pawich.

N. 28—30. Parawanik przed piec lub kominek, ozdobiony obrazkami haftowanemi na płótnie. Ryc. 14 w N. 52 przedstawia jeden obrazek w naturalnej wielkości.

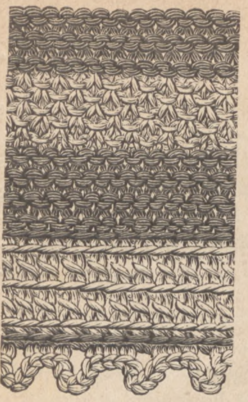
Za model do parawanika służyły dawne kościelne dywany z XIII wieku przedstawiające obrazy lub legendy Świętych. Haft robi się na grubem i rzadkiem płótnie, włóczkami kolorowemi. Środkowe skrzydło parawanika przedstawia turniej rycerski, a boczne skrzydła osoby w strojach ówczesnych. Tu tak jak we wzorach z owej epoki perspektywa i cieniowanie nie jest zachowane, a kontury odznaczane są kolorem czarnym. Trochę powiększoną próbkę roboty dajemy na ryc. 29 a na ryc. 30 listek drzewa. Nitki spodnie przewłóczy się od ręki lewej do prawej, a ściegi zwierzchnie idą od prawej do lewej; tak pierwszych jak drugich nie trzeba zbytecznie przyciągać. Długość ściegów zwierzchnich nie jest podług nitek płótna obliczona, tylko równo podług oka dawana, a ich kierunek zastępuje perspektywę i cieniowanie, jak to widzimy na ryc. 14 w N-rze 52, gdzie obłoki i część tła dolnego robione są ściegami poprzecznemi, zamek prostopadłemi, a w hafcie osoby i drzewa oprócz poprzedzających dodane są ściegi skośne. Na modelu do ryc. 14 twarz, ręce i futro którem suknia księżnej jest oszyta robione były cienką zefirową włóczką, suknia, okrycie głowy, obłoki i domy grubą pończoszniczą wełną angielską, a w drzewach, kwiatach i łące oba rodzaje włóczek były użyte. Kolory włóczek dobiera się żywe ale nie jaskrawe. Na modelu twarz i ręce robione były kolorem cielistym, obłoki dwoma cieniami niebieskiemi, zamek dwoma popielatemi i niebieskawo-kamiennemi, drzwi i okna kolorem drzewnym, przykrycie głowy czerwonawo - bronzowym w muszki żółte, chusteczka żółta, suknia kolorami niebieskiemi, a drzewo i łąka zielonemi. Drewniane ramy skrzydeł i część dolna parawanika pokryta pluszem ciemnym, na którym dana krata z grubej szneli, łączona małemi złoconemi goździkami.

N. 35—37. Ubranie spacerowe z chusteczką włóczkową, robioną szydełkiem.

Model trójkątnej chusteczki robionej z czarnej jedwabnej włóczki, miał oprócz koronki, w brzegach bocznych po 37, w górnym 50 c. długości. Ryc. 37 przedstawia w naturalnej wielkości probkę tła, a ryc. 36 pomniejszoną próbkę koronki. Chusteczkę zaczyna się od rogu na ocz. 5, pierwszy słup. stanowią 2 o: pow., w 3 o: robi się 4 słup. przedzielane 1 o: pow., w następnych rzędach zawsze daje się 4 słup. między środkowe sł. poprzedzającego rzędu. Koronkę można robić oddzielnie albo przyrabiać w koło do chusteczki. Przednie rogi chusteczki przedłużają końce 30—40 cent. długie zrobione z dwóch rzędów koronki u dołu przymarszczonej a w środku spojonej.

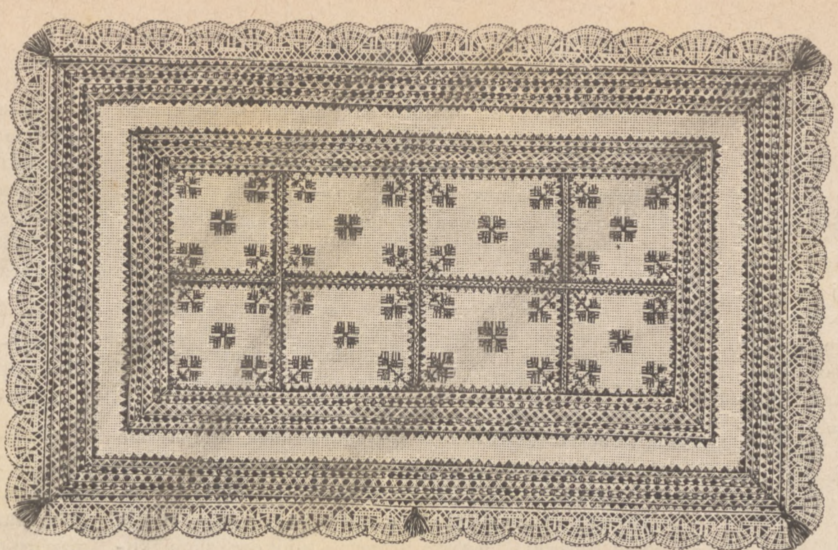
N. 39—41, oraz ryc. 1—2 i 23 w N. 52. Suknia z draperyą z prostych brytów.

Na ryc. 39 i 40 podajemy strojną, jednakowym sposobem odrobioną suknię, lecz z odmiennym garnirunkiem



N. 7. Tło na drutach do ryc. 4.

spódnicy; samą spódnicę do takiej sukni zrobioną z aksamitu i gładkiego materyału dajemy na ryc. 23, ryc. 40 przedstawia suknię z materyału deseniowego a ryc. 39 z połączonych trzech wymienionych materyałów. Model i miary draperyi złożonej z sześciu jednakowych prostych brytów i odmiennie upiętej z każdego boku dajemy na r. 41. Bryt przedni *a* z brytem bocznym *b* zeszywają się tylko na 88 cent. długości, a z brzegów przednich zarówno jak i bryty *e* i *f* stanowiące bok drugi, podszywają się szeroką listwą aksamitną, a brzegi górne składa się w fałdy zaszyte do 15 cent. długości i przyszywa do spódnicy w sposób wskazany na ryc. 23 w N. 52. Bryty tylne *c* i *d* w górze są w pasek wszyte, bryt *d* zaszywa się w fałdki, oznaczone krzyżykami na ryc. 41 i podpina w bufę składając gwiazdką do gwiazdki; bryt *c* jest luźno spuszczony pod bufą. Bryt przedni *a* podwija się do spodu podług linijki cienkiej przerywanej i przyszywa się do spódnicy a bryt *b* zaszywa w fałdki krzyżykami i punktami oznaczone. Bryty *e* i *f* zeszywają się u dołu ze sobą i podpinają z boku, tak iż brzeg do dołu z przodu spuszczony, układa się nakształt kapturka. Nakoniec bryty *a* i *f*. w środku przodu zaszyte są w górze ze sobą na 25 c. długości i podpinają w fałdę w sposób na ryc. 40 wskazany. Stanik z baskiną w patki przeciętą, dopełnia fałdowana koronkowa szmizetka. Do bogatego przyozdobienia sukni służą piękne szmuklerskie pompony. Dwa stosowne rodzaje rękawów dajemy na ryc. 1 i 2 w Numerze 52.



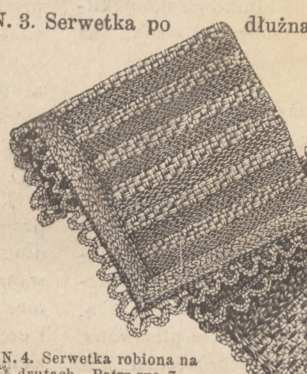
N. 3. Serwetka podłużna. Patrz r. 16 tudzież 20 i 21 w N. 52.



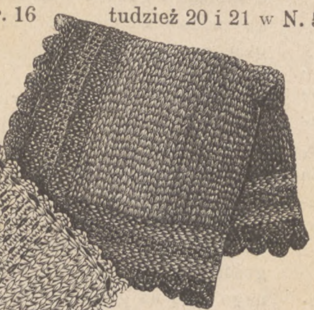
N. 8. Tło robione na drutach do ryc. 5.



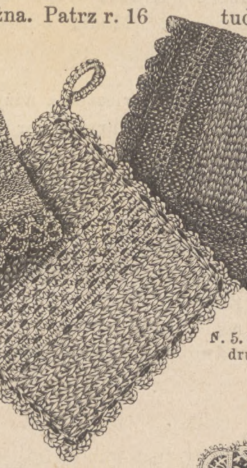
N. 10. Kołnierzyk stojący z żabotem.



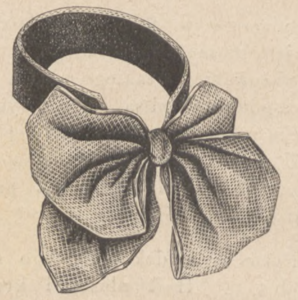
N. 4. Serwetka robiona na drutach. Patrz ryc. 7.



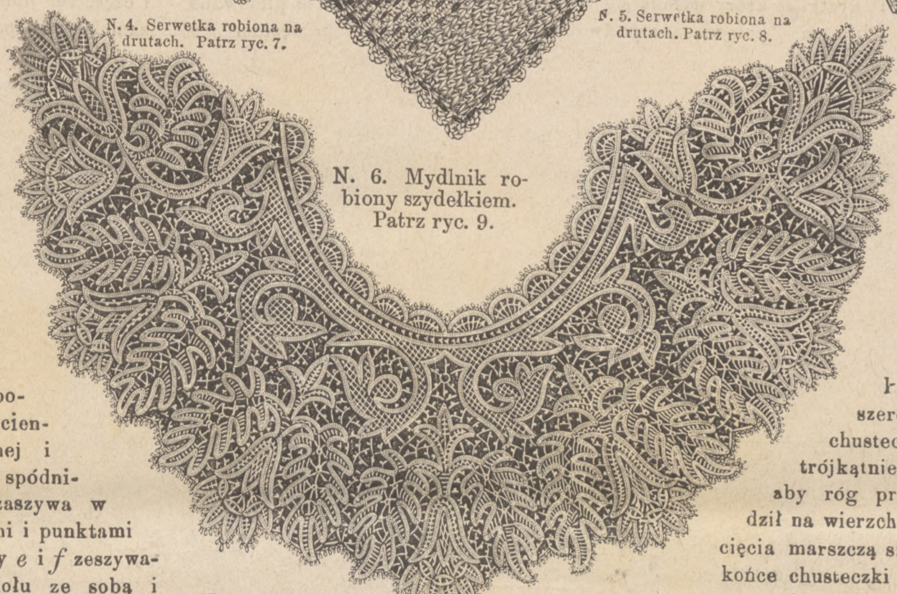
N. 5. Serwetka robiona na drutach. Patrz ryc. 8.



N. 6. Mydlnik robiony szydełkiem. Patrz ryc. 9.



N. 11. Kołnierzyk stojący z kokardą.



N. 12. Kołnierz z koronki irlandzkiej. Patrz ryc. 13.



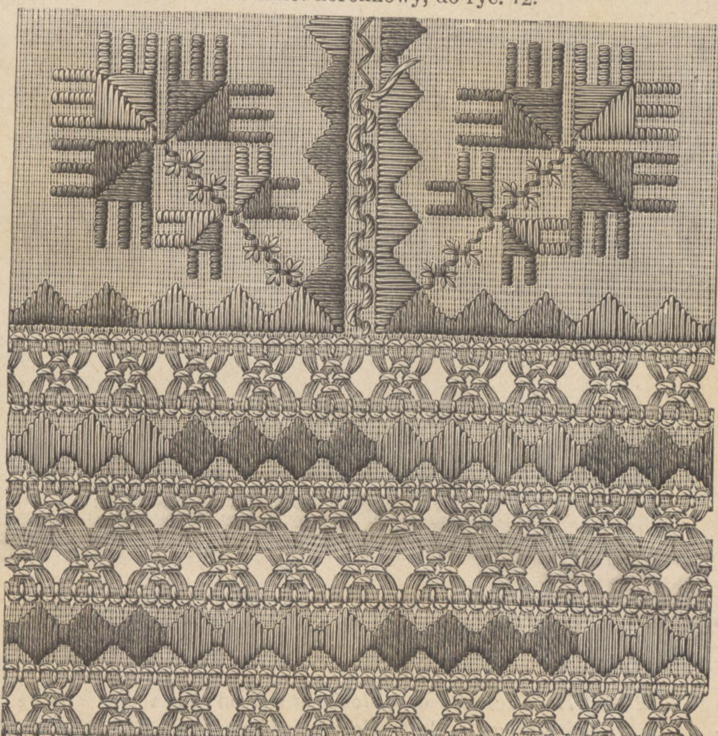
N. 13. Mankiet koronkowy, do ryc. 12.



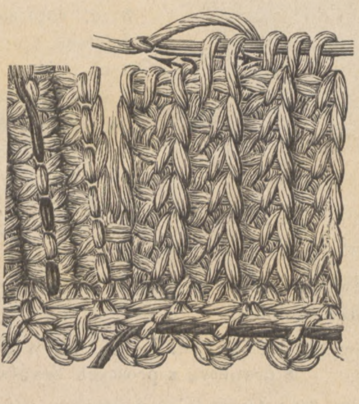
N. 14. Ubranie domowe z długim stanikiem.



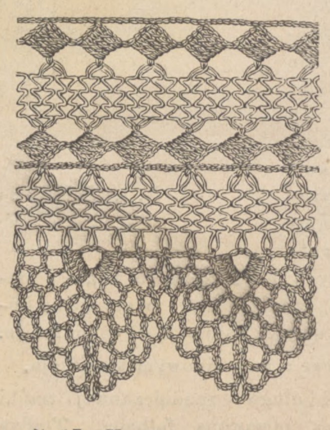
N. 15. Suknia zdobna wyszyciem.



N. 16. Szlak i wyszycie na tle serwety ryc. 3.



N. 9. Tło szydełkowe do ryc. 6.



N. 17. Koronka szydełkowa z plecioneczką.

Opis do N. 52.

N. 1—2. Rękawy do sukni ryc 39—40 w N. 51.

N. 3. Kołnierz chusteczkowy.

Środek kołnierza stanowi bufka przemarszczona z kawałka muślinu 7 c. szerokiego a 100 długiego, z nagłówkiem 1 cent. szerokim, która po zmarszczeniu liczy u góry 38 u dołu 56 cent. długości i przy wykroju szyi wszyta jest w pasek 3 c. szeroki. Pasek ten przykrywa aksamitka 4 cent. szeroka, przysłonięta z wierzchu haftem koronkowym lub koronką. Takiż haft 6 c. szeroki lekko naddany otacza dolny brzeg haftki; na zapięcie kokarda z aksamitki granatowej z atłasowym spodem koloru vieil-or.

N. 4—5 i 29 Chusteczka z indyjskiego muślinu.

Ułożona jest z kawałka żółtawego indyjskiego muślinu liczącego 61 cent. w kwadrat przeciętego wzdłuż jednego rogu na 20 cent. i oszytego w około koronką saską 6 cent. szeroką. Następnie chusteczkę składa się trójkątnie w ten sposób aby róg przecięty zachodził na wierzch a brzegi przecięcia marszczą się do 10 cent.; końce chusteczki z przodu w równych odstępach przemarszczają się kilkakrotnie do 5 i 3 cent. szerokości. Na ryc. 5 i 29 widzimy chusteczkę włożoną do sukni z szewjotu ciemnozielonego gładkiego i w pasy do cieniu. Gładko spadająca tunika wycięta u dołu w patki po 22 cent. długie i stanik z materyału gładkiego, z przodu ścięty w bawet i dopełniony upięciem à panier, z tyłu przedłużony jest w baskinę frakową złożoną w cztery fałdy po 5 cent. głębokie.

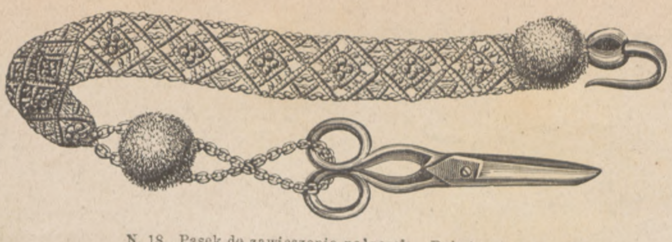
N. 6. Żabot z aksamitu i koronki.

Stojący kołnierzyk z ponsowego aksamitu 3 i pół cent. wysoki, przysłonięty jest koronką 2 i pół cent. szeroką; żabot składa się z części aksamitnej stanowiącej plastron 22 cent. długi, w górze 5, u dołu 1 c. szeroki, z jednego boku oszyty koronką gładko wywiniętą do wierzchu, z drugiego zakończony wachlarzowym

garnirunkiem z koronki 8 cent. szerokiej. Stanik z krótką baskiną oszyty grubym sznurem i zapięty na szmuklerskie pentlice.

N. 7. Sukieneczka z wyszyciem dla dziewczynki lat 3—5.

Odrobiona z wełnianego materyału formą princesse, ma u góry przy wykroju szyi i na każdej kontrafałdzie falbany dane wyszycie z sutaszu; wązka plisowana falbanka zakończa sukieneczkę u dołu i dana jest równie jak szarfa z materyi jedwabnej. Kokardy na ramionach z wstążki 4 cent. szerokiej.



N. 18. Pasek do zawieszenia nożyczek. Robota wiązana. Patrz ryc. 19—21.



N. 26. Gałązka haftowana supełkami do ryc. 24.



N. 22. Żabot.



N. 27. Część haftu do ryc. 24.

u góry ścięte w ząb, 11 c. długie a 4 i pół szerokie. Kołnierz marynarski związany u dołu kamizelki wstążkę atłasową 4 i pół cent. szeroką.

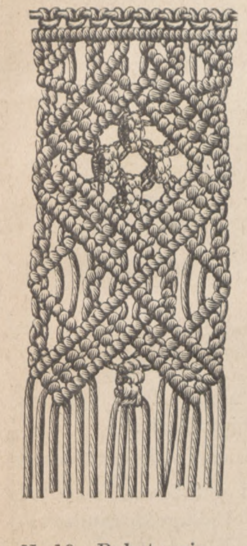
N. 9—13. Ubrania na lekcye tańca.

N. 9. Suknia z bluzką.

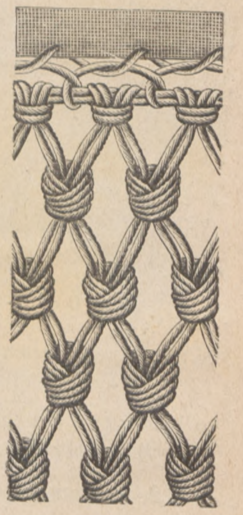
Do bluzki gładkiej kaszmirowej z wielkim marynarskim kołnierzem, włożona spódniczka z tuniką z materyału w kratę, w kolorze odpowiednim do bluzki. Pasek z wstążki atłasowej związany z boku w dużą kokardę.

N. 10. Suknia aksamitna dla młodej panienki.

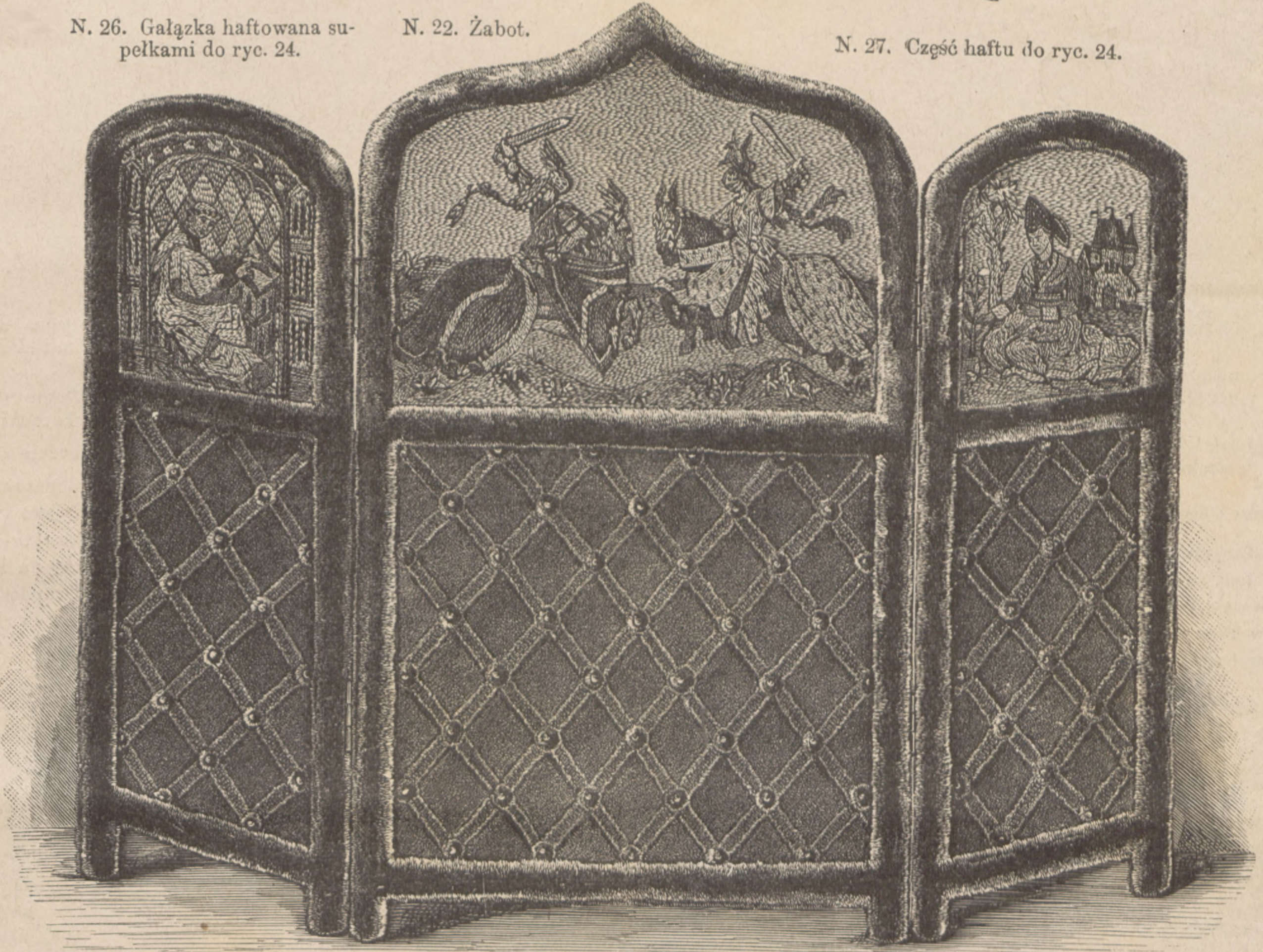
Materya faille i aksamit tegoż koloru użyte na to strojne ubranie; spódnica złożona w kontrafałdy przysłonięta jest draperyą fałdowaną, z przodu przechodzącą skośnie, z tyłu dopełnioną brytem spuszczonym w dwa pukle. Stanik aksamitny z podłużnym wykrojem, zasłoniętym marszczoną kamizeleczką z faille, ogarnirowany jest w około sutą ruszą jedwabną. Z przodu dodane oryginalne skośne przewiązanie z wstążki.



N. 19. Robota wiązana macramé, do r. 18. Patrz r. 20-21.



N. 23. Część wiązania frendzli do ryc. 38.



N. 28. Parawanik. Haft na płótnie patrz ryc. 29—30 i ryc. 14 w N-rze 52.

N. 8. Ubranie dla chłopca lat 4—5.

Szewjot w paski bronzowe, ponsowe i niebieskie użyty na ubranie złożone z majteczek, staniczka spodniego i bluzy dopełnionej fałdowaną spódniczką. Wykrój szyi w bluzie przedłużony z przodu na 20 cent., odsłania kamizelkę przyszytą na spodnim staniczku, przybraną plisami atłasowemi 2 i pół cent. szerokości. Spódniczka 23 c. długa, ułożona w kontrafałdy po 7 c. szerokie, środkiem których naszyte patki atłasowe

N. 11. Sukieneczka bluzkowa dla małej dziewczynki.

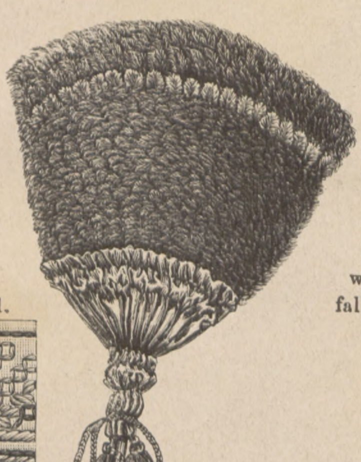
Na gładko dopasowanej podszewce bluzka fałduje się tylko ze zwierzchniego materyału i opuszcza się u dołu na spódniczkę, całą zagarnirowaną koronkowemi falbankami. Ubranie



N. 31. Przykrycie na foremkę z leguminą lub na puszkę z pasztetem. Patrz r. 31.



N. 24. Wachlarz do zasłonięcia się od ognia kominkowego. Patrz r. 25—27.



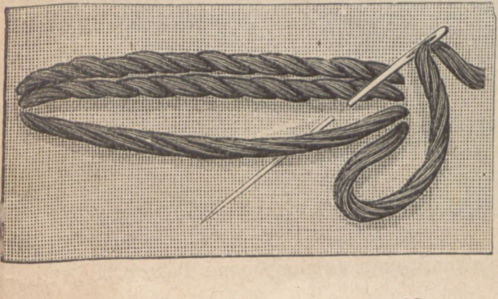
N. 25. Wachlarz do zasłonięcia się od ognia kominkowego. Patrz r. 24—27.



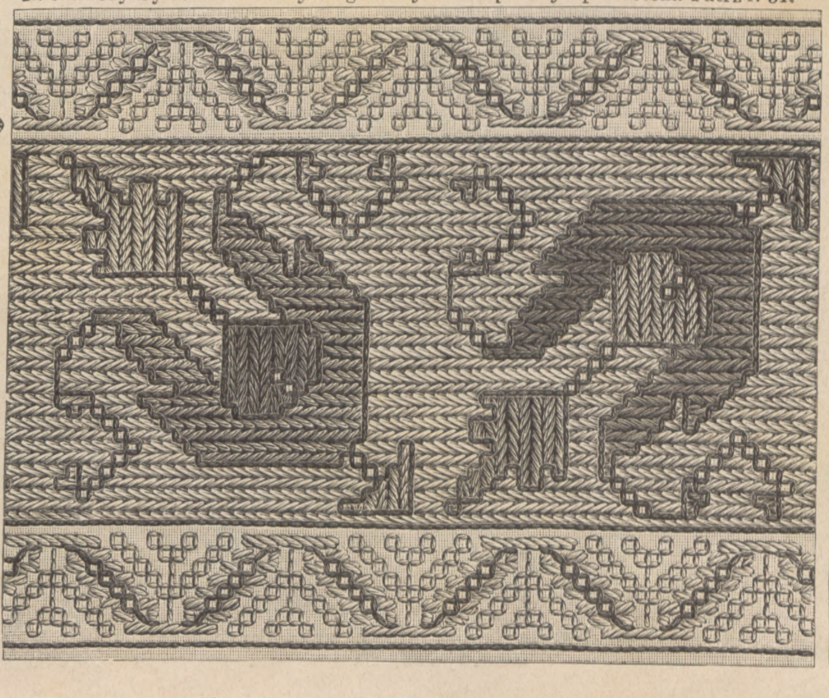
N. 20. Wiązanie do ryc. 19.



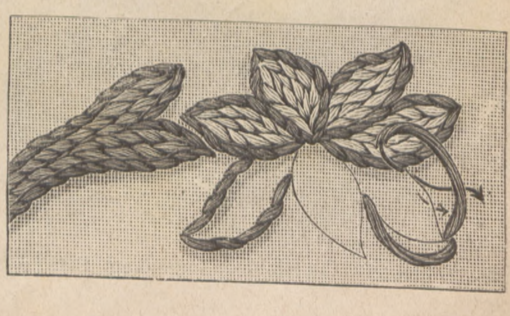
N. 21. Wiązanie do ryc. 19.



N. 29. Wyszycie do ryc. 28.



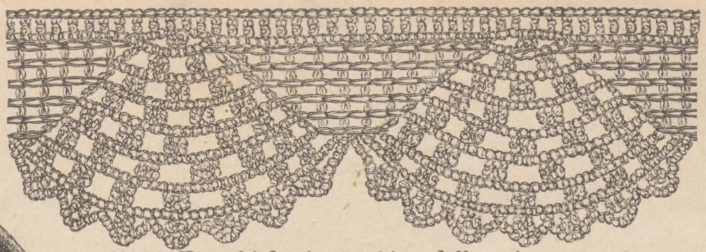
N. 32. Szlak do ryc. 31. Haft na płótnie.



N. 30. Wyszycie kwiatu do ryc. 28.



N. 33. Kapelusz czarny aksamitny z wywiniętym rondem naszytem grelotkami z perełek, zdobny piórami.



N. 36. Koronki do chusteczki szydełkowej, ryc. 35—37.



N. 34. Kapotka marszczona aksamitna, zdobna wstążką atłasową, piórkiem i klamerkami dżetowemi.

to było uszyte z niebieskiej satynki i zdobne walansienką; kokardy z w stążki 3 cent. szerokiej pasek pluszowy.

N. 12. Sukienka princesse z paskiem, dla dziewczynki.

Z przodu zapięta na dwa rzędy guzików, u dołu wycięta jest w patki, po 11 cent. długie a po 6 szerokie, z pomiędzy których wysuwa się haftowana lub koronkowa falbana. Środkiem pleców dane fałdowanie poniżej wcięcia stanu rozchodzące się w bufę przyszytą do spódniczki.



N. 35. Ubranie spacerowe z chusteczką szydełkową. Patrz ryc. 36—37.

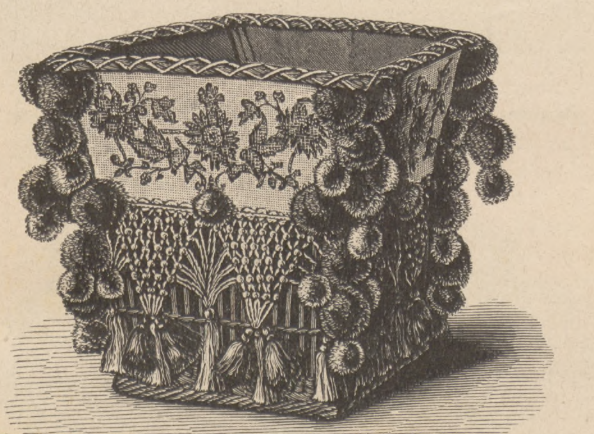
Sukienka z granatowego welwetu, miała falbanę, kołnierz, mankiety i kieszonki z koronki koloru ficelle.

N. 13. Sukienka princesse z draperyą nakształt szarfy

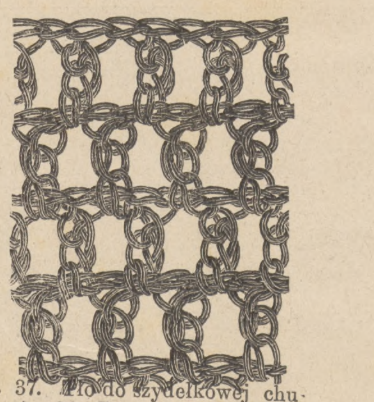
Na gładkiej dobrze dopasowanej podszewce, materyał zwierzchni biały kaszmir jest w całej długości zaplisowany w drobne fałdki, przeszyte w odstępie 20 cent. od dolnego brzegu. Od spodu sukienki podszyta falbanka z materyi ponsowej. Draperyę stanowi szeroka szarfa z ponsowej materyi z przodu złożona w fałdy, z tyłu związana jest w wielką kokardę. Stojący kołnierzyk i wykłady z materyi. *(D. n.)*



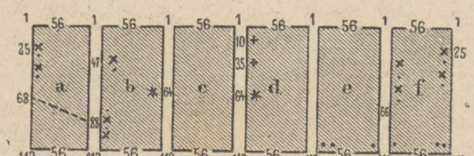
N. 39. Suknia z tuniką zdobna pomponami. Patrz r. 40--41.



N. 38. Kosz do papierów zdobny haftem, pomponami i frendzlą. Patrz ryc. 23.



N. 37. Tło do szydełkowej chusteczki. Patrz ryc. 35—36.



N. 41. Wymiar brytów prostych na tunikę do sukni ryc. 39—40.



N. 40. Suknia z tuniką zdobna pomponami. Patrz r. 39 i 41.